PRO CHRISTO

WIARA I CZYN

ORGAN MŁODYCH KATOLIKÓW — MIESIĘCZNIK

Wydawca: Stowarzyszenie Społecznego Panowania Najświętszego Serca Jezusa w Rodzinach Chrześcijańskich.

Redakcja i Administracja: Warszawa, ul. Moniuszki 3a.

P. K. O. 10.115 Telefon 763-44

NACZELNY REDAKTOR: STEFAN KACZOROWSKI

przyjmuje interesantów w środy i piątki między 18.30 a 19.

Biuro i telefon czynne w dni powszednie od g. 11 do 12 i od 15.30 do 17

Redakcja rękopisów nie zwraca

Pro Christo.

Idą nowe czasy.

Kończący się rok 1932 nie był dla nas rokiem szczęśliwym. Przeciwnie, można powiedzieć, że czarne i gęste chmury nagromadził on nad skołataną ludzkością. Kryzys gospodarczy doszedł w tym czasie do niebywałego napięcia i pogrążył w rozpaczy nietylko rodziny, lecz całe warstwy i społeczeństwa. Prócz tego obserwowaliśmy raz po raz wybuchy konfliktów wewnętrznych w rozmaitych krajach oraz beznadziejne i daremne usiłowania naprawienia stosunków między narodami i odwrócenia grożącego widma wojny.

To też wszyscy z nadzieją i utęsknieniem myślą o jakiejś zmianie na lepsze, o jakimś wytchnieniu i wyjściu z dusznej i ponurej atmosfery, podobnej do wyziewów wybuchającego w oddali wulkanu. I można powiedzieć, że żaden rok nowy nie dźwiga na to sobie tak wielkiego brzemienia nadziei, oczekiwania, obawy i niepewności, jak zbliżający się do nas, owiany mgłą tajemnicy rok 1933.

Coraz bardziej w świadomości zmęczonego i wynędzniałego społeczeństwa utrwala się przeświadczenie, że znajdujemy się w przededniu wielkich zmian i przeobrażeń, zwłaszcza w dziedzinie ekonomiczno-społecznej. Stan tak głębokiego kryzysu do-

prowadzić musi po kilku latach do zmiany dotychczasowych form struktury gospodarczej. Na miejscu rozpadającego się w gruzy systemu kapitalistyczno-indywidualistycznego zaczną powstawać jakieś nowe budowle, chwilowe, lub trwałe, gorsze, lub lepsze.

Nas katolików kryzys współczesny nie powinien pogrążać w rozpaczy i beznadziejności, my bowiem jesteśmy członkami i wyznawcami społeczeństwa nadprzyrodzonego, a równocześnie opartego na instytucjach życia przyrodzonego, któremu Bóg powierzył prawdę.

Cechą zasadniczą Kościoła Chrystusowego, po której można Go odróżnić od innych partykularnych zrzeszeń religijnych—jest to, że stale walczył o prawdę i sprawiedliwość we wszystkich dziedzinach życia. Jeżeli weźmiemy np. życie gospodarczo-społeczne, to przedewszystkiem stwierdzić należy, że już na samym początku w okresie walki o swoją egzystencję z cesarstwem rzymskim—Kościół katolicki bez żadnej krwawej rewolucji, lecz tylko swoją nauką i wpływem zlikwidował odwieczną instytucję opartą na gwałcie i niesprawiedliwości — mianowicie zniósł niewolnictwo, jako jedyny i panujący system pracy fizycznej. Później za sprawą Kościoła, w oparciu o zasady Jego nauki zaczyna się kształtować w nowopowstających miastach średniowiecznych nowy system rzemieślniczo-cechowy, o wiele lepszy i doskonalszy od starożytnego niewolnictwa.

Na to kapitalne przeobrażenie złożyły się wówczas głównie dwa czynniki: 1) olbrzymie przeobrażenie psychiczne i moralne, ten niezgłębiony przełom, który się dokonał w duszach ludzkich już nawet pod koniec starożytnego państwa Cezarów, a potem wśród barbarzyńskich ludów Europy; 2) fakt, że po upadku państwa rzymskiego młode barbarzyńskie narody poddały się zasadom moralnym i organizacyjnym Kościoła i przez kilka wieków dusza tych narodów rasy białej znalazła się w Jego błogosławionych rękach, a instytucje życia zbiorowego kształtować się mogły w myśl Jego zasad.

* * *

W chwili obecnej jesteśmy świadkami zachwiania się ustroju kapitalistycznego, który powstał w XVIII w., w okresie upadku wpływów katolickich i jest nie mniej pogański od dawnego niewolnictwa. Ustrój ten, rzekomo oparty na zasadzie wolności, a raczej na anarchji i rozpętaniu nieograniczonej żądzy zysku — doprowadził faktycznie do wyzysku i prawie że niewol-

nictwa pracujących. Obecnie ustrój ten chwieje się i pada wśród strasznego kryzysu ekonomicznego, społecznego, politycznego i moralnego, którego skutki mogą być nie mniejsze od upadku starożytnego państwa rzymskiego.

Miejmy nadzieję, że tym razem nie będzie wędrówki ludów z Azji do Europy, ale natomiast obserwujemy objaw bardzo niebezpieczny, mn. propagandę i silny wpływ poglądów i nastrojów azjatyckich na Europę. Mamy tu na myśli z jednej strony dyktaturę i jej nadużycia, prowadzące do wszechwładzy państwa i w formach swoich przypominające system rządzenia państw azjatyckich, z drugiej zaś strony propagandę bolszewizmu, który jest właściwie połączeniem teorji Marxa z gospodarczo-społeczną koncepcją azjatycką. Tylko na równinie euazjatyckiej mogła powstać taka struktura gospodarcza, której epigonowie szturmują obecnie szańce Europy.

W okresie takiego zamętu ludzkość musi znowu zwrócić się o pomoc do Kościoła katolickiego i do posiadanej przez Niego prawdy.

Prawda ta jest naszym udziałem i możemy zrobić z niej pożyteczny użytek dla dobra naszej Ojczyzny i całej ladzkości. Namiestnik Chrystusowy tę prawdę ogłosił i wezwał nas uroczyście i kilkakrotnie do wyciągnięcia z niej wniosków w dziedzinie życia gospodarczego, żądał abyśmy nie chowali jej pod korcem, lecz oświecili jej blaskiem całe społeczeństwo i wszystkie jego warstwy i rozpoczęli propagandę dobra i sprawiedliwości.

I tak, jak w dawniejszych czasach prawda chrześcijańska trudna była do przyjęcia dla panów i możnych tego świata, gdyż wymagała od nich wyrzeczenia się przemocy i gwałtu nad niewolnikiem, tak i obecnie bardzo powoli i trudno zasady Rerum Novarum i Quadragesimo Anno żłobią sobie wpływ i uznanie w wyższych warstwach społeczeństwa, gdyż wymagają i żądają wielkim głosem wyrzeczenia się ducha mammony i niesprawiedliwości, wyrzeczenia się czci złotego cielca, odrzucenia od siebie precz i wydarcia z duszy tych pojęć kapitalistycznych, sprzecznych z duchem i nauką Kościoła, które zagnieździły się od kilku wieków wśród społeczeństwa, a szczególnie wśród jego warstw wykształconych i posiadających.

Musimy jednak dokonać tej duchowej ewolucji, gdyż ona jest niezbędnym warunkiem reformy. Reforma struktury gospo-

darczej nie może się dokonać mechanicznie, musi być oparta na przekonaniu wewnętrznym społeczeństwa, na przeobrażeniu jego pojęć i zapatrywań na to, co wolno i co godziwe w życiu gospodarczo-społecznym. Ustrój chrześcijańsko-korporacyjny, który się zbliża do nas coraz bardziej musi być poprzedzony przez wielki i zasadniczy przełom duchowy.

Jeżeli to nie nastąpi—przyjdzie Azja...

St. K-ski.

U wrót Summy Teologicznej.

„Et antiquum documentum novo cedat ritui".

W Kościołach katolickich, przed błogosławieństwem Najświętszym Sakramentem, śpiewają wierni od siedmiu wieków na całej kuli ziemskiej znany hymn: „Tamtum ergo Sacramentum". Autorem jego jest jeden z największych genjuszów, których ludzkość wydała—Tomasz z Akwinu, potężny filozof średniowiecza. W hymnie owym, znajduje się zwrotka, którą jako motto do artykułu tego użyłem: „i starożytnych praw świadectwo niech ustąpi Nowemu"... Słowa te streszczają myśl, jaką chcę wypowiedzieć. Chcę bowiem wskazać na nowoczesność myśli filozoficznej Tomasza z Akwinu, czyli, co brzmi trochę paradoksalnie na nowoczesność starej, katolickiej doktryny. Nie jest to nic niezwykłego — owszem rzecz ta jest bardzo pospolitą na świecie. Wszak moda — ten oficjalny stempel wszelakiej nowoczesności, tak często, odświeżywszy i odmłodziwszy jakiś stary antyk, ukazuje nam go, jako ostatni krzyk postępu.

Przypomnijmy sobie choćby niedawną szarżę na krótkie suknie, tak przecież blado wyglądającą wobec rekordu, jaki pod tym względem ustanowić musiały tysiąc lat temu kuse panny mykeńskie, które dziś na freskach wykopalisk kreteńskich swobodnie podziwiać możemy. Dziś znowu moda powraca do sukien długich, starego zabytku przedwojennego. Podobnych przykładów dostarczyć nam mogą wiele i poważniejsze przejawy kultury, jak architektura, rzeźba, malarstwo, muzyka, literatura, pismo, wogóle cała dzisiejsza sztuka, tak tęsknie i wyraźnie zapatrująca się na odległe prymitywy.

Z tego widać, że nowoczesnem nie jest bynajmniej to, czego jeszcze nie było, ale to, na co zapotrzebowanie istnieje w nowoczesnem społeczeństwie. To, co zdolne jest zaspokoić rozpiętość aktualnych myśli i pożądań, co ma w sobie cechy, upodobniające się do fizjognomji nowej duszy. Pod tym względem filozofja św. Tomasza z Akwinu jest ultra—nowoczesna, tembardziej, że mimo tych wszystkich cech, jeszcze nie weszła w modę, ale dopiero czeka na swoją kolej w wielkim magazynie nowości na następny wiosenny sezon.

Czekała ona w takim magazynie w odległych czasach już nie raz jeden. Szła poprzez zamierzchłe mgławice szkoły Eleackiej i Jońskiej, cierpliwie się dalej posuwając w wielkich czaszkach Sokratesa i Platona — aż wreszcie wybuchła w pełnym blasku, rozkwitła, jak kwiat najdoskonalszy w niezrównanej filozofji Arystotelesa. Ów godny pedagog greckiego Napoleona nie spodziewał się zapewne, że płód jego ducha, zakopany w ziemi przez wiernego ucznia przetrwa długie wieki zapomnienia, aby po latach tysiącu stać się zrębem nowej kultury. Ciekawy jest moment historyczny, w którym Philosophia Paerennis stała się poraz drugi nowością. Żywiołowy najazd Arabów, którzy, pędzeni ogniem religijnego fanatyzmu przebiegli wzdłuż Europę, nie zatrzymując się, aż na ostatnim jej cyplu—zniszczył równowagę ówczesnej gospodarki śródziemnomorskiej. Handel i rzemiosło się zachwiało, podupadło, pieniądz zaczął odpływać od najbogatszych państw, trzeba było organizm polityczny na nowych oprzeć podstawach. Wtedy to rycerze dostają ziemię, we Francji i Niemczech powstaje feudalizm. W owej chwili zamętu i niepokoju przychodzi św. Tomasz z Akwinu, pokorny mnich dominikański o głowie tytana. I objawia światu Arystotelesa. Wprawdzie już dawno przed nim Arystotelesa wygrzebywali ruchliwi Arabowie, przetłomaczyli na swój dziwny język i wykładali na swojej semickiej, wschodniej uczelni, ale nieszczęśliwie wyglądał ów Arystoteles w ich rękach. O skażonym tekście źle tłomaczony, gorzej jeszcze rozumiany, przyczynił się jeszcze bardziej do zamętu myślowego wczesnego średniowiecza, kiedy to Platon już nie wystarczał i Augustyn również. Kościół nawet zabronił wykładać owego arabskiego perypatetyka. A nikt inny nie kwapił się z oczyszczeniem tekstu.

Nie trzeba się temu dziwić. Żeby zrozumieć ciemne, wprost do osobistych, stenograficznych notatek zredukowane zapiski Arystotelesa, który śpieszył się, żeby zapisać jaknajwięcej — trzeba równego jemu genjusza, o potężnej intuicji. Trzeba było również—ośmielam się to powiedzieć, człowieka nieskazitelnego, świętego, o anielskim umyśle, któryby swą niewinnością dziecka ściągnął z nieba wprost jakby strumień objawienia, jakby słup ognia, mający go łaskawie poprowadzić przez ciemne pustynie myśli. Takim był św. Tomasz z Akwinu, ów biały mnich dominikański, rzucający płonącą głownię w nasłaną ulicznicę. Na tem genjalność jego polegała, że uczynił to, czego nikt przed nim i, co dziwniejsze — nawet po nim uczynić nie mógł. Przeniknął wspaniale, do głębi jego system, zrozumiał go w każdym odłamku, oczyścił, dopełnił i wyłożył.

Przewyższając poganina nadziemskiem światłem wiary, dopełnił go w tem, czego mu niedostawało — rozpiął go na widnokręgu nieskończoności, uniósł się na jego skrzydłach wysoko—odsłaniając zdumionemu światu wspaniałą panoramę w epokowem dziele — Summie Teologicznej. Rzeczywiście, w wieku XIII Summa, która jest niczem innem, jak Arystotelesem, zaprzągniętym do pługu wiary, rozpoczęła nową Epokę. Przeorała chrześcijańską Europę, stała się tworzywem szerokiej kultury średniowiecza. Spięła stalowym systemem belki, łuki i wiązania całej jej skomplikowanej budowy, stała się ostoją społeczną, polityczną i gospodarczą państw na długie wieki. Stworzyła nawet styl średniowiecza—gotyk. *Ostatni* styl, który pozostawił człowiek na ziemi.

Bo Summa właściwie jest jako przeogromna gotycka katedra. Jednolita, z szerokich fundamentów wyrosła sztyletami wyniosłych wieżyc przecinająca obłoki, wykończona w każdej najdrobniejszej cegiełce, barwna, bogata, obfita, zachwycająca koronkową robotą niezliczonych fryzów wieżyczek, figur świętych, onieśmielająca swą ciszą i nadludzkiem skupieniem — wspaniała — niedowierzenia piękna, zachwyca oczy, przystających na jej progu.

Mimo tej piękności i mocy swojej—obraz jej rozpadł się w oczach pokolenia XV wieku. Na jej gruzach jął harcować rozhukany renesansowy pegaz, który konsekwentnie, acz pra-

wem kontrastu zrodził romantyzm, ten przedśmiertny skurcz zdrowego rozsądku. Potem już nastała ciemna nicość, chaos i próżnia, w której żyjemy. Lecz w próżni, ciemności i na okrągłych zerach daleko zajechać niemożna, przynajmniej nie jest to zupełnie bezpiecznem. Wszyscy odczuwają potrzebę wyjścia z tego niezmiernego bałaganu intellektualnego, który Europa odziedziczyła po XIX wieku i znalezienie duchowych warunków dla uczciwej pracy. Wszyscy oczekujemy, aby św. Tomasz z Akwinu po raz drugi objawił się naszemu światu. Objawi się on napewno, bez najmniejszych wątpliwości, bo czasy już do tego dojrzewają. Znów kultura nasza znajduje się na krytycznym zakręcie, coś wielkiego w historji ziemi się załamuje, coś nowego przechodzi. Trzeszczy wewnętrzna struktura, a zewnętrznym znakiem tego — szalejący kryzys. Zdaje się, że to właśnie załamuje się pseudokultura materjalizmu i głupoty, że to nowemu człowiekowi ustępuje europejski barbarzyńca, przybrany w maskę chrześcijanina.

— Ite ad Thomam!—Rozbrzmiewa okrzyk papieży w nowoczesnym—a starym, jak świat—kościele bożym. Ta gorąca zachęta—ten zbawczy nakaz, jakoby rozkaz dzienny wojskowego dowództwa—roznosi się po świecie. We Francji grzmi Masitain, pierwszorzędny tomista i pierwszy autorytet filozoficzny, rozpędzający ze swej paryskiej katedry duszące, duszne—lecz nie duchowe dymy, powstałe po elukubracjach żydowskiego intuicjonisty—Bergsona. W Niemczech coraz częściej rozbrzmiewa hasło: „Kant oder Thomas". I odpowiedź pada: Thomas. Wszak Kant tak łudząco przypomina sylwetkę zgrzybiałego Protagorasa z przed tysięcy lat! I my raz powinniśmy skończyć z romantyzmem filozoficznym. Jest to przecież filozofja pychy, krańcowego subjektywizmu, filozofja zamknięta w jaju cierpliwie wysiedzianym przez autora, tak mądra i tyle wiedząca o świecie, co takie niewyklute kurczę. Pytałem raz pewnego profesora katolickiego, słynnego uniwersytetu o Hegla. Odpowiedział mi: „poświęciłem kilka lat drogocennego czasu na sumienne przzstudjowanie kilkunastu tomów Hegla, aby się przekonać, że mam doczynienie z bardzo logicznym idjotą". — Albo ze sprytnym oszustem, który chciał zrobić interes i zadowolić swoją pychę — pomyślałem. Tak samo sprawa się przedstawia z całą zaberrowaną filozofją ro-

mantyczną. Każdy chciał zaczynać od siebie, chciał być bogiem, odkrywcą Ameryki, prawodawcą, Konfucjuszem. A ludzie się odurzali przez nich preparowanemi coctail'ami.

Dziś jednak czasy się zmieniają. Zainteresowanie filozofją katolicką — wieczną — rośnie. Arcyciekawą jest rzeczą, w jaki dziwny sposób nowocześni u nas do Tomasza się zabierają. Tak naprzykład Żeromski w „Nawracaniu Judasza" cytuje urywek z Summy. Niestety, nie umiał on czytać Summy. Jako zdanie Tomasza przytacza on opinję, którą ów uznaje jako fałszywą i rozpatruje tylko jako zarzut przeciw sobie (Objectio). Nie trzeba go jednak potępiać. W wolnej Polsce istnieją uniwersytety, na których mamy na szczęście, czy nieszczęście — wydział ścisłej filozofji. Profesorowie, wykładający ową filozofję—Arystotelesa i św. Tomasza z Akwinu mają w pogardzie: poświęcają mu drobnym druczkiem jakie pół stroniczki w swoich skryptach. Do niedawna to horrendalne nastawienie nie mogło mi się pomieścić w głowie. Dziś rozumiem, o co chodzi. Ci summi — magistri niestety, trzeba odsłonić fakt—o Arystotelesie nie mają zielonego pojęcia. Nie rozumieją go ani krzyny. Nie mieli go wprost w ręku, a jeśli mieli, to po to tylko, aby go z obrazą odrzucić. Jest on dla nich zatrudny. Przekonałem się o tem osobiście, na rozmowie w cztery oczy, kiedy jedna z owych powag naukowych, najwyższych autorytetów przyznała mi się, że nie rozumie — łaciny scholastycznej! — Czyli tego języka, w którym wszystkie komentarze i źródła naukowe do zrozumienia Arystotelesa konieczne się znajdują!

Ale blaga i wyższe, naukowe nieuctwo ustąpić musi Prawdzie. Św. Tomasz—objawiciel Prawdy, która jest jedna — zwycięży.

Zwycięży jego maksymalna objektywność, równoważne uznanie ducha i materji, zrozumienie życia, niewzruszona siła uczciwego dowodzenia, prosta, ludzka wiara w zmysły i umysł, dająca oparcie czynom i wypędzająca choroby zwątpienia. A przedewszystkiem zwycięży tem, co nam daje największą gwarancję zwycięstwa — swoją nowoczesnością. Jest on bowiem nowoczesny, w swojej klasyczności, jak nowoczesnemi są dziś igrzyska olimpijskie. Na czem ta nowoczesność polega?

— Świat dzisiejszy kocha rekordy. Chce zwyciężać naturę w powietrzu, na lądzie i wodzie. Wszędzie. Wszędzie chce dotrzeć, wszystkie przeszkody złamać, wszystko przemierzyć, przebić, zgłębić, rozkrajać i zobaczyć. Na wszystko chce znaleźć odpowiedź. Nie znosi tajemnic. Chce być uniwersalny i gniewa się, gdy jeszcze jakiś mędrszy atom, jakiś elektron chowa się przed jego rozdzierającym pazurem. Otóż, taka jest Summa Teologiczna. Ma odpowiedź na wszystko. I na to, co będziemy robić po śmierci, i na to, co kąpiel przynosi naszemu ciału. A przedewszystkiem odpowiada na pytanie: poco człowiek żyje?

Jak potrzebną jest dzisiejszemu społeczeństwu filozofja tomistyczna, jak *praktyczną* jest ta teoretyczna wiedza — tłomaczyć już dziś ludziom nie potrzeba. Zbyt wiele o tem pisano od pół wieku i u nas w Polsce. Cała trudność polega na wynalezieniu sposobu podejścia do tej wiecznej filozofji, na uprzystępnieniu jej dzisiejszym, osłabionym przez brak ćwiczeń rozumom, na rzucenie pomostu pomiędzy dwoma bardzo różnemi poziomami. Bo rzeczywiście, gdy współczesny człowiek wejdzie do labiryntu Summy Tomaszowej, czuje się trochę niesamowicie. Zdaje mu się, że wchodzi do jakiegoś podziemnego, starożytnego mauzoleum, gdzie blade światło dzienne ledwie oświeca zakurzone, szare posągi, rzeźby i postacie dawno umarłych istot. Zamrożony jest i przestraszony ciszą i nieludzkim spokojem tu królującym. Po gwarze i huku życia zdaje mu się to nieznośnem. Lecz niech nie zraża się tem wszystkiem, niech rozejrzy się śmielej dokoła: stanie się to samo, co w don Juanie Zorilli. Zakurzone posągi okażą się żywymi ludzmi, zaczną chodzić i mówić. Lecz dla przeciętnego śmiertelnika taka wizyta może być zbyt ryzykowna. Może się nie doczekać, aż posągi zejdą z piedestałów — i zatrzasnąć drzwi od zewnątrz. Dlatego, żeby rozpowszechnić filozofję tomistyczną, trzeba ją przetłumaczyć na język współczesny. Nie mówię tego w znaczeniu literalnem. Chodzi mi o wyłożenie głównych podstaw tej wiedzy w sposób przystępny, żywy, bezpośredni. Na taką zaś pracę nie wystarczy filozofów: potrzeba i literatów. I to dobrych literatów. Dziś, w epoce panowania powieści i noweli właśnie literaci mają wielkie dzieło do spełnienia: poznać i przejąć się wspaniałą,

uspokajającą i uszczęśliwiającą doktryną tomistyczną i przygotować do jej przyjęcia szerokie masy. Oby to jaknajprędzej nastąpiło! *Dr. Tadeusz Kordyasz.*

SPOŁECZEŃSTWO I WYCHOWANIE.

Szkolnictwo w niebezpieczeństwie.

W swoim czasie omawialiśmy już na łamach „Pro Christo" przepisy i zarządzenia wydane dla szkolnictwa, a przy okazji podaliśmy ustęp z przemówienia p. ministra W. R. i O. P. Janusza Jędrzejewicza. W przemówieniu tem, wygłoszonem z trybuny (znajdującej się w gmachu parlamentu przy ul. Wiejskiej), której obecny regime używa raz na rok do komunikowania społeczeństwu swojego „sic volo et sic iubeo" — p. minister obwieścił narodowi polskiemu, że szkolnictwo zostanie zreformowane w duchu ideologji sanacyjnej, a wychowanie i urabianie młodzieży pójdzie w kierunku „państwowym". Jak zaś pojmuje ten kierunek wychowawczy, dał wyraz, podkreślając, że np. w dziedzinie nauki historji, nie można się zadawalniać przeszłością, lecz kształcić trzeba młodzież i urabiać na wielkich wzorach historji dnia dzisiejszego i wskazywać jej za przykład wielkich mężów kierujących obecnie nawą państwową, należących do obozu t. zw. sanacji moralnej. Mówiąc zaś o tych wielkich mężach, których słowa i czyny mają być wzorem dla młodego pokolenia i symbolem moralności życia zbiorowego -- miał p. minister niewątpliwie na myśli, oprócz wodza obecnego regimu, marsz. Piłsudskiego, także jego znaczniejszych współpracowników, a między innemi—wojewodę Kostka-Biernackiego, Jędrzeja Moraczewskiego, Bogusława Miedzińskiego, posła Polakiewicza, mecenasa Wyrostka, ministra Becka i szereg innych, o których czynach i dziełach pisze od kilku lat prasa krajowa i zagraniczna...

Niestety, zamierzenia wybitnego reformatora nie spotkały się narazie z uznaniem i współdziałaniem ani młodzieży szkolnej, ani z małymi wyjątkami ciała nauczycielskiego.

Młodzież nasza szkolna dotychczas nie zajmowała się polityką, jeżeli wyłączymy sporadyczne wypadki, które można uważać tylko za wyjątek potwierdzający regułę. Nie było również ze strony ugrupowań politycznych żadnych planowych i szerszych usiłowań zmierzających do wciągnięcia młodzieży szkolnej w sferę akcji politycznej i związanych z nią konfliktów. Wprawdzie nie można powiedzieć, aby młodzież nie interesowała się tem, co się w państwie dzieje. Młodzi również czują i myślą, interesowanie się w pewnym stopniu sprawami swojej Ojczyzny jest rzeczą zupełnie naturalną i bynajmniej nie zdrożną. Wydarzenia niektóre mają zresztą charakter tak uderzający i emocjonalny, że tylko ślimak w swojej skorupie nie drgnąłby i pozostałby całkowicie obojętny... Dotychczas jednak, biorąc zagadnienie generalnie, stwierdzić należy, że młodzież szkół niższych i średnich nie była u nas specjalnie rozpolitykowana. Wiadomości historyczne czerpała przeważnie z podręczników, nie posiadających specjalnie żadnej marki partyjnej, pogląd zaś na historję czasów dzisiejszych, czyli, inaczej mówiąc—na współczesne wydarzenia polityczne — urabiała sobie samodzielnie, powoli i stopniowo — bez pomocy p. ministra W. R. i O. P.

Zdawał sobie sprawę p. minister Jędrzejewicz z trudności przeprowadzenia swojej „reformy" w szkolnictwie średnim i niższym i dlatego postanowił w pierwszym rzędzie zaapelować do ciała nauczycielskiego.

Rozmaite są sposoby działania i oddziaływania, rozmaitymi metodami można wprowadzić taki, czy inny system do szkolnictwa. Społeczeństwo polskie ma to dokładnie utrwalone w pamięci, gdyż jeszcze nie tak dawno nauczyciel pruski zapomocą brutalnego gwałtu usiłował zmusić młodzież polską do modlenia się po niemiecku, starsze pokolenie w Kongresówce pamięta doskonale czasy Apuchtina i innych zwolenników gwałtownej rusyfikacji szkolnictwa oraz t. zw. strajk szkolny, historja zaś mówi nam, że represje zastosowane wobec młodzieży wileńskiej przez Nowosilcowa były tłem, na którym wykwitł wspaniały, mieniący się tęczowymi barwami kwiat poezji romantycznej i powstały wiekopomne dzieła nowej literatury. Tak to brutalny gwałt wrogów naszego narodu, usiłujący nagiąć sumienia młodzieży do sztucznych czysto

koncepcji, przygotowanych przy zielonych stolikach ministerjalnych — wywołuje żywiołowy bunt wśród młodego pokolenia. Mając takie doświadczenia musimy być specjalnie ostrożni z prowadzaniem reform w szkolnictwie a zwłaszcza z metodami wprowadzania tych reform. Szkolnictwo nasze zaczęło właściwie dopiero powstawać i jest instrumentem niezwykle delikatnym i subtelnym. Łatwo je zepsuć i zniszczyć, trudniej znacznie rozbudować.

Zdaje się, że bardzo mało liczą się z tą prawdą reformatorzy sanacyjni. Wskazuje na to sam sposób zabrania się do rzeczy przez wywarcie nacisku na ciało nauczycielskie i zmuszanie go pod groźbą utraty posady do wywierania wpływu na młodzież w myśl t. zw. ideologji państwowej, co w praktyce polega: na częstym urządzaniu uroczystości na cześć panującego ruchu politycznego i jego przedstawicieli, wprowadzeniu do wykładów i wypracowań piśmiennych aktualnych zagadnień politycznych, oświetlanych z punktu widzenia rządowego, a nawet, jak ostatnio—zupełnej zmianie podręczników szkolnych, które mają być odtąd opracowywane z punktu widzenia potrzeb tej propagandy.

Aby siły nauczycielskie podporządkować całkowicie tym założeniom i zrobić z nich podatne narzędzie do wprowadzenia tego kierunku wychowawczego, trzeba było zmienić ustawę o stosunkach służbowych nauczycieli i wprowadzić do niej przepisy uzależniające ich bardziej, niż do tychczas od władzy przełożonej. Tak się ostatecznie stało.

Podajemy według streszczenia prasy codziennej niektóre zmiany, które nastąpiły w nowym dekrecie Prezydenta Rzeczypospolitej.

Z dniem 1 listopada br. weszło w życie rozporządzenie Prezydenta Rzplitej, zawierające pewne zmiany w ustawie obecnie obowiązującej w stosunkach służbowych nauczycieli.

Dotyczy ona nauczycieli szkół państwowych i publicznych, podległych ministrowi oświaty z wyjątkiem nauczycieli szkól akademickich i równorzędnych.

Władza szkolna prowadzi dla każdego nauczyciela kartę ewidencyjną, która zawiera oceny, sporządzane conajmniej raz na dwa lata. Jeżeli ocena jest niedostateczna, władze winny przesłać nauczycielowi orzeczenie pisemne z podaniem motywów tej oceny. Nauczyciel może w ciągu 14 dni wnieść odwołanie.

Nauczyciel może być w każdej chwili przeniesiony na własną prośbę do innej szkoły. Natomiast jeżeli zdaniem, władzy szkolnej względy organizacyjne tego wymagają, można przenieść nauczyciela na równorzędne stanowisko do innej szkoły. Minister może przenieść nauczyciela do innej szkoły, o ile tego wymaga dobro szkoły, ponadto nauczyciel może być przeniesiony do służby podlegającej innym przepisom w tym samym dziale zarządu państwowego tylko za jego zgodą i bez obniżenia posiadanej grupy uposażeniowej. Nauczyciele religji katolickiej mogą być przeniesieni tylko w porozumieniu z odnośnym biskupem.

Nauczyciel stały może być zwolniony ze służby o ile w bezpośrednio po sobie następujących conajmniej półtorarocznych odstępach czasu otrzymał dwukrotnie niedostateczną ocenę kwalifikacyjną. Każdy przełożony ma prawo zawiesić nauczyciela w pełnieniu służby, gdy nauczyciel odmówi jawnie posłuszeństwa służbowego lub w szczególnie ważnych okolicznościach, albo gdy ze względu na jakość zarzucanego mu uchybienia obowiązków służbowych lub godności stanu nauczycielskiego dalsze jego pozostawanie na służbie przynosiłoby szkodę powadzę szkoły lub groziło jej dobru.

Nie chodzi nam tutaj o same przepisy, gdyż niektóre z nich mogą być w zasadzie nawet słuszne. Chodzi nam raczej o ich zastosowanie. Reformy te zwiększają kompetencje władzy przełożonej w stosunku do nauczycieli, pozwalają one nauczyciela przenosić, zwalniać, stawiać jemu oceny, których kwalifikacja zależy całkowicie do władzy dyskrecjonalnej przełożonych itd. A więc w rękach ludzi, którzy traktują sprawy szkolne z punktu widzenia politycznego przepisy te mogą się stać bronią potężną i bardzo skuteczną, a niszczącą. Jeszcze nie było tego dekretu, a już słyszało się raz poraz o zwalnianiu, czy przenoszeniu nawet w czasie roku szkolnego długoletnich i wykwalifikowanych kierowników szkół państwowych, o odbieraniu gimnazjom prywatnym I kategorji itd.

Oczywiście w ten sposób będzie można zmusić nauczycielstwo do uległości. Ludzie o silnych i zdecydowanych poglądach zostaną z niego wyeliminowani. Pozostanie garstka zwolenników sanacji oraz olbrzymia większość naginająca swoje przekonania do okoliczności—dla chleba. Ale do czego to w ostateczności doprowadzi? Przedewszystkiem do obniżenia poziomu ideowego nauczyciela, który uważał się dotychczas nietylko za urzędnika tej, czy innej kategorji, lecz także za działacza oświatowego, kapłana, stojącego na straży świętego znicza oświaty, a teraz został poniżony do roli narzędzia politycznej propagandy. Następnie doprowadzi to także do

zmniejszenia autorytetu nauczyciela wobec uczniów. Młodzież bowiem zdaje sobie sprawę z sytuacji i wyczuwa instynktownie i intuicyjnie, a w wyższych klasach wie dobrze, w jak upokarzającej i niewyraźnej roli — znalazł się jej pedagog i preceptor.

Kapitalnym i niezwykle ważnym jest zagadnienie, jaki wpływ wywrze ten system na samą młodzież. Niedługo przekonamy się i zobaczymy. W każdym razie — jest możliwość daleko idących niespodzianek. System przymusu ma to do siebie, że jednych teroryzuje i zmusza do uległości, drugich przyciąga widokiem doraźnych korzyści, a wśród innych wreszcie rozbudza odruch protestu i bunt przeciwko niesprawiedliwemu naciskowi. Trudno przewidzieć stosunek liczbowy tych trzech grup. W każdym razie kilka zjawisk można już teraz przewidywać:

1) Pewna część młodzieży (zwłaszcza uczniów o mniejszym temperamencie i słabym zamiłowaniu do życia publicznego) ulegnie zniechęceniu i zobojętnieniu wobec państwa i zagadnień życia zbiorowego, patrząc na nie z punktu widzenia niepożądanych i przykrych dla nich ingerencyj. Stosunek ich do spraw naszego życia zbiorowego stanie się zimniejszym i dalszym niż dotychczas.

2) Na terenie szkolnictwa, gdzie animozje partyjne były dotyczas słabe i odgrywały rolę trzeciorzędną — zaczną się tworzyć zwalczające się grupy o wyraźnych zabarwieniach politycznych, do których będą należeć uczniowie o większych zainteresowaniach publicznych, rozpoczną się tarcia i walki, prowadzące nawet może zbyt daleko. W rezultacie skutek może być zupełnie przeciwny, niż przewidywał minister Jędrzejewicz. Zamiast ujednostajnienia poglądów politycznych całej młodzieży szkolnej, może łatwo nastąpić jeszcze większe zróżniczkowanie tych poglądów i zaognienie różnic.

Rezultatem wszystkich tych fatalnych pomysłów i jeszcze fatalniejszych posunięć będzie niewątpliwie upadek poziomu wiedzy, jaką dać powinna szkoła uczniom. Obniżenie bowiem autorytetu i znaczenia wychowawców i nauczycieli, rozbudzenie w młodzieży namiętności i tarć politycznych, a w końcu możliwe w tych warunkach represje, połączone może z zamykaniem poszczególnych uczelni, czy wydaleniem myślących

antysanacyjnie uczniów — wszystko to wytworzy atmosferę nieodpowiednią do nauki i zada silny cios ogólnemu poziomowi wykształcenia kończących szkoły uczniów.

* * *

Specyficzna twórczość p. ministra Jędrzejewicza nie ogranicza się do szkół średnich i niższych. W wywiadzie udzielonym niedawno przedstawicielowi „Iskry" p. minister zajął się bliżej szkołami akademickiemi, zapowiedział „reformę autonomji uniwersyteckiej". Oto program p. ministra, a zarazem projekt nowej ustawy o szkołach akademickich:

„...niema chyba tak niejasnej i mglistej rzeczy, jak autonomja akademicka. Dlatego też przedewszystkiem należałoby określić na czem właściwie autonomja ta polega. Rozróżniam cztery dziedziny pracy szkoły akademickiej: nauka, nauczanie, czynności wychowawcze, wreszcie czynności administracyjno-gospodarcze.

Otóż jest mojem głębokiem przekonaniem, że praca naukowa i metody nauczania, stanowiące dziedziny najbardziej twórczej pracy ducha ludzkiego, nie mogą być krępowane i w tych dziedzinach szkoły akademickie muszą być całkowicie autonomiczne. Zupełnie inaczej rzecz się ma, gdy chodzi o sprawy wychowawcze i adminisfracyjno-gospodarcze. Wytyczne wychowawcze muszą być ustalone, skoordynowane, ujednolicone, a wykonanie ich kontrolowane przez odpowiedzialny czynnik państwowy. Zbiorowe ciała profesorskie wyższych uczelni, niezależne jedne od drugich nie są w stanie podołać zadaniom wychowawczym. Zwierzchni nadzór i naczelne kierownictwo w tej dziedzinie musi przejąć Państwo. Również gospodarka w szkołach akademickich musi dopuszczać znaczną ingerencję ministra oświaty, a to z tego prostego powodu, że przecież prawie całość wydatków szkół akademickich pokrywana jest z budżetu państwowego, że są to pieniądze publiczne, za które nie kto inny, jak minister oświaty ponosi całkowitą odpowiedzialność...

Projekt ustawy daje ministrowi pewien wpływ na dobór rektora, którego władza będzie znacznie powiększona, a który musi być zarówno mężem zaufania swoich kolegów, jak mężem zaufania Rządu, powierzającego mu poważne sumy budżetowe oraz doniosłe zagadnienia wychowawcze. Dotychczas rektor, posiadający władzę nieznaczną i urzędujący rok zaledwie nie był i nie mógł być faktycznie odpowiedzialny wobec nikogo. Projekt ustawy daje mu dość znaczny zakres władzy oraz przedłuża mu czas urzędowania. W tych warunkach w porozumieniu z ministrem, wobec którego rektor ponosi odpowiedzialność za swą pracę, będzie on mógł istotnie kierować powierzonym sobie zakładem naukowym w sposób przemyślany i planowy. Rola senatu zmniejszy się więc na korzyść rektora, ale również na korzyść wydziału, który stanie się zasadniczą komórką autonomji nauki i nauczania, zgodnie z tem, co wyżej powiedziałem....

— A jak rozwiązuje Pan Minister sprawy młodzieży akademickiej?

— W tym zakresiesie władza ministra zostanie dość znacznie wzmocniona. Obowiązująca dzisiaj ustawa z 1920 r. nie daje ministrowi żadnej ingerencji w te tak z punktu widzenia państwowego zasadnicze sprawy. Ten stan rzeczy tolerowany być dłużej nie może. Zeszłoroczne wydarzenia, świadczące o niesłychanem zdziczeniu części tego środowiska, które ma być naszą elitą kulturalną, świadczą aż nadto wyraźnie, że chodzi tu o obronę wyższych uczelni, poziomu naszej kultury narodowej i obronę tę zdecydowany jestem przeprowadzić w sposób bezwzględny. Minister musi mieć możność ukrócania niepoczytalnych wybryków, którym zbiorowe ciała profesorskie zapobiec nie potrafiły...."

Ostatnie słowa ministra Jędrzejewicza zdradzają, że istotnym celem ustawy są doraźne interesy i zamierzenia polityczne. Pod ich kątem widzenia obecny system czyni w Polsce bodaj wszystko i dla utrzymania się u władzy gotów jest poświęcić najważniejsze instytucje życia zbiorowego.

Chodzi o to, że młodzież akademicka w większości swojej nie jest nastrojona prosanacyjnie i wiele razy manifestowała przeciwne poglądy. Zadaniem więc p. ministra będzie ująć ją w karby i do ideologji sanacyjnej nakłonić. O ile zadanie to w szkołach średnich jest niezmiernie trudne i problematyczne, o tyle na terenie wyższych uczelni wydaje się nam niemożliwem do spełnienia. Usiłowania doprowadzą tylko do wielkich konfliktów, a może i zaburzeń. Walki z młodem pokoleniem żaden rząd jeszcze nie wygrał na dalszą metę, bo przecież czas upływa, pokolenie młode prędzej czy później dojdzie do głosu, wszak za lat nie wiele sam p. Jędrzejewicz przestanie być ministrem, inni dygnitarze również przejdą prędzej, czy później do mniej lub więcej sławnej historji.

Po drugie, trzeba zdawać sobie sprawę, że zimne, lub nawet wrogie ustosunkowanie się młodzieży akademickiej do B. B. W. R. nie jest dziełem intrygi tej, lub innej partji, lecz wyrazem poglądów tej młodzieży, jej zapatrywań na potrzeby i zadania państwa. Niezawsze zgadzamy się z tygodnikiem „Myśl Narodowa". Trudno jednak odmówić słuszności poglądom, przedstawionym w ostatnim numerze tego pisma:

„Każde pokolenie w narodzie przynosi z sobą pewne usposobienia myślowe i uczuciowe. Rosnąc i rozwijając się, ulega wpływom zewnętrznym, chłonie w siebie oddziaływanie, idące od otoczenia i płynące z przeszłości, wśród wpływów tych jednak wybiera to, co odpowiada jego usposo-

bieniom myślowym i uczuciowym. Tak powstają ruchy i prądy społeczne, które charakteryzują różne epoki.

Jeśli młode pokolenia w Polsce odrodzonej zwracają się przeciw „sanacji", to nie pod wpływem jakichś bliżej nieokreślonych machinacyj, lecz dlatego, że są duchowo tej „sanacji" obce. Jest też złudzeniem przypuszczanie, że można zabiegami natury mechanicznej— zakazami, prześladowaniem opornych rozwiązywaniem organizacyj, nadzorem i t. p.—zmienić duszę młodego pokolenia. Wszak mamy w dziejach tyle przykładów, że się to nigdy nie udawało, że prowadziło do zaburzenia normalnego rozwoju, łamało jednostki słabsze, pozostawiało na długie lata następstwa wykoszlawień duchowych, lecz nie dawało pożądanych wyników.

Nikt też nie zdoła zgnieść prądu ideowego młodych pokoleń w Polsce odrodzonej. Conajwyżej można uzewnętrznienie się tych prądów utrudnić, a ich rozwój wypaczyć, nie na pożytek wszakże tych, co nacisk mechaniczny wywrzeć usiłują, lecz na krzywdę narodu".

Widocznie program sanacyjny i metody tego obozu większości młodego pokolenia, kształcącego się na wyższych uczelniach nie zadawalniają. Na to niema rady. Zapomocą represji nie zmieni się sytuacji, przeciwnie, nastroje ulegną jeszcze większemu zaostrzeniu, może dojść do strajku, czy do zamknięcia wyższych uczelni...

Tem mniej jeszcze można zmus'ć profesorów do wyznawania takich, czy innych poglądów politycznych. Wprawdzie można zamianować na profesorów ludzi według ich zapatrywań, ale taka metoda prędzej czy później musiałaby doprowadzić do upadku wszechnic — do szalonego obniżenia poziomu naukowego...

Względy te jednak zupełnie rzeczowe i objektywne nie odgrywają widocznie odpowiedniej roli w umysłowości obecnych kierowników Ministerstwa Oświaty. Oto ukazał się w Dzienniku Ustaw dekret zmieniający stosunek służbowy profesorów wyższych uczelni, zwiększający nadzór i kontrolę rządu nad profesorami. Między innemi dekret przewiduje, że Minister Oświaty władny jest zawiesić profesora w obowiązkach wrazie wytoczenia mu sprawy dyscyplinarnej. Pomocnicze zaś siły naukowe ujęte są w jeszcze silniejsze karby i podlegają specjalnym ocenom kwalifikacyjnym: dobry, dostateczny i niedostateczny, przyczem dwukrotna ocena niedostateczna powoduje rozwiązanie stosunku służbowego.

Plan zarysowywuje się zupełnie jasno. Z jednej strony chodzi o wzięcie w karby młodzieży akademickiej — z drugiej

zaś strony o wywarcie odpowiedniego wpływa na profesorów. W tym celu znosi się, a przynajmiej znacznie ogranicza — autonomję uniwersytecką, będącą jedną z najtrwalszych i najbardziej wypróbowanych zdobyczy społeczeństwa w dziedzinie życia samorządowego, instytucję, sięgającą jeszcze czasów średniowiecznych, w żadnym wypadku nie mogące szkodzić państwu. Równocześnie zaś usiłuje się ograniczyć autorytet i rolę profesorów, tych przedstawicieli nauki w całym tego słowa znaczeniu—do poziomu urzędników, podległych i zależnych od ministra, lub wykonawców jego woli. Nie twierdzimy, że wszystkie przepisy nowego dekretu są złe, lecz wszak sposób wykonania odgrywa rolę pierwszorzędną. Nie łudźmy się zaś— wiemy, jakie będzie wykonanie. Zbyt dużo przykładów mieliśmy dotychczas...

Tak więc dla doraźnego celu politycznego, który i tak nie zostanie osiągnięty — narażona zostanie na wstrząsy, konflikty i upadek, jedna z najważniejszych instytucji nowego życia polskiego — instrument nauki—Alma Matris Poloniae.

Podziwiać można, zaiste, energję i konsekwencję, godną lepszej sprawy—z jakimi system sanacyjny podważa najważniejsze instytucje naszego życia zbiorowego. U podłoża umysłowości tych dziwnych i ponurych reformatorów tkwią zasadnicze błędy, które kiedyś fatalnie się odbiją na naszem życiu zbiorowem. Jednym z nich — to nienawiść do przeciwników politycznych, zaciemniająca i wypaczającą sąd na potrzeby państwa. Drugim zaś — to fatalny pogląd, podzielany przez wszystkich władców wschodnich, a obcy wielkim politykom zachodnio-europejskim, że siłę państwa należy identyfikować z całkowitem podporządkowaniem się jemu, a przez to i osłabieniem społeczeństwa we wszystkich dziedzinach.

Taki typ państwa jest odpowiedni na równinie euazjatyckiej, wśród szczepów wschodnich, nie przyjmie się jednak i nie rozwinie w narodzie o kulturze i cywilizacji, posiadającej silne pierwiastki chrześcijańskie i zachodnio-europejskie. W takim narodzie społeczeństwo nie może być niewolnikiem, lecz powinno być źródłem siły i energji dla państwa, rezerwuarem jego sił i kontrolerem jego działalności. Niech organa władzy państwowej będą najsilniejsze, ale niech źródłem ich siły będzie energja, jaką potrafią wykrzesać z żywych sił narodu. Bez-

płodne zaś zmaganie się państwa ze społeczeństwem, którego rezultatem może być tylko obustronna utrata sił — doprowadzi w końcu do osłabienia państwa na pobojowisku pokonanego społeczeństwa.

Kto tego nie rozumie i nie uznaje — ten przegrał wobec Boga, wobec Narodu i wobec trybunału historji!

Stefan Kaczorowski.

Prawo do życia.

Kryzys... 20 miljonów pracowników pozbawionych pracy, wyrwanych z trybów normalnego życia. Jeśli weźmiemy, że przeciętnie każdy z nich utrzymywał rodzinę, złożoną z czterech osób—to wypadnie, że 80 miljonom grozi nędza. Prawda, że w niektórych krajach istnieją ubezpieczenia od bezrobocia, lecz one tylko przez krótki stosunkowo czas wypłacają zasiłki. Co dalej? To co dostaną w drodze łaski z instytucji dobroczynnych to tylko okruchy, które może im pozwolą zaspokoić zwierzęcy głód, ale napewno nie zapewnią im, choćby najskromniej pojętych, możliwych warunków życia. Wszak każdy ma prawo do życia, każdy ma prawo założyć ognisko rodzinne i być człowiekiem (nie żebrakiem). Czyż można wyobrazić sobie większą tragedję nad tą, którą muszą przeżywać ludzie pełni sił życiowych, nie mogący zapracować na kawałek chleba, zmuszeni do życia w nędzy i upodleniu. A te szeregi bezrobotnych wciąż jeszcze rosna i rosną... Coraz nowe pokolenia ustępują i wraz nowe warsztaty pracy się zamykają. Najgorzej jest w krajach wysoko uprzemysłowionych t. zn. w Anglji i w Niemczech. Według ostatniej statystyki w Niemczech jest bez pracy 5.261.000 osób, w Anglji i Irlandji 2.946.808. W innych krajach jest nieco lepiej, ale bardzo niewiele. Jeśli dla większej przejrzystości określimy ilość bezrobotnych, w poszczególnych krajach, w procentach to okaże się, iż w Anglji jest 22,9 proc., w Niemczech 28 proc., w Belgji 40,5 proc., w Austrji 21,5 proc., w Holandji 32 proc., w Danji 30 proc. i t. d. W Polsce w kwietniu 1932 r. oficjalnie zarejestrowanych było 369 031. Jednakże jest to cyfra śmiesznie mała. Nie liczy się tu przedewszystkiem ludności wiejskiej, która się nie rejestruje w urzędach. Jeśli weźmiemy pod uwagę, że Polska

to kraj przedewszystkiem rolniczy, należy uznać, że statystyka, która nie zawiera danych co do większości obywateli nie może dać nam obrazu naszej rzeczywistości. W braku cyfr urzędowych musimy się oprzeć na bezpośredniej obserwacji życia. Informacje nadchodzące ze wszystkich stron kraju stwierdzają wprost katastrofalny stan gospodarczy. Wracamy do archaicznych prymitywów życia ludzkiego. Są wsie, gdzie ludzie oddawna nie oglądają zapałek, powrócili do krzesiwa i krzemienia; zamiast soli t. zw. stołowej używają bydlęcej. Na kresach w pewnych miejscowościach na przednówku pieczono chleb z wrzosu i nim oszukiwano głód. Na szczęście jeszcze wszędzie tak nie jest. Ale sam fakt pojawienia się takich wypadków w XX wieku jest bardzo znamienny i zatrważający. Zresztą gdzieindziej jakkolwiek jeszcze chleba z wrzosu się nie piecze, niemniej nędza i tak jest straszna.

Trzeba pamiętać o jednem: miljony bezrobotnych mogą głodować jeszcze rok lub dwa. Ale co dalej? Głód jest złym doradcą. Czyż można będzie się dziwić, że doprowadzone do ostateczności, masy schwycą się środków rozpaczliwych. Cóż stanie się wówczas z cywilizacją europejską? Czy w morzu krwi nie utonie wszystko to, co przywykliśmy czcić i kochać? Nad tem wszystkiem trzeba się zastanowić i poszukać środków zaradczych zanim nie będzie zapóźno.

Rozwiązują się więzy moralne. Ostatnio zdarzyły się wypadki, iż popełniono mordy dla zdobycia, dosłównie, kilkunastu złotych. Łódzki „Prąd” (№ 28) donosi: „Stwierdzono w ostatnich czasach, iż wśród kobiet uprawiających prostytucję uliczną w Łodzi, zanotowano młode osoby z wykształceniem, z maturą, zanotowano również osoby już starsze, wdowy, których całe życie poprzednie niczem nie wskazywało na tak żałosny upadek. To są fakty",

Jest jednak i odwrotna strona medalu. Kryzys obfituje w paradoksy. Masy staczają się na dno nędzy, ale są i tacy którzy żerują na powszechnej biedzie, robią kokosy. Redukuje się tysiące robotników, obcina się im i tak do niemożliwości małe zarobki, a jednocześnie dyrektorzy fabryk biorą po 100.000 miesięcznie. Podobne fakty wołają o pomstę do nieba.

Rzeczą zrozumiałą jest, iż jednostki wykształcone, bardziej utalentowane pobierają lepsze uposarzenia. Ale musi

być jakaś proporcja zachowana. Nie może jeden człowiek zarabiać tysiąc razy więcej niż drugi. Wyrzuca się jednego na bruk pod pozorem, że nie ma mu się za co płacić 100 zł. miesięcznie, podczas gdy drugi nie wie co z pieniędzmi robić. Młodzi ludzie, ze świetnymi dyplomami napróżno kołaczą choćby o najskromniejszy zarobek. W te sprawy musi wejrzyć władza państwowa. Tego winno zażądać całe społeczeństwo, bez różnicy przekonań politycznych.

Głośną jest od dłuższego czasu sprawa karteli. Niestety dotąd nie znalazła należytego rozwiązania. Dzięki zmowie solidarnie działających przemysłowców ceny fabrykatów są zbyt wygórowane, niejednokrotnie dla szerszych mas niedostępne. Są to artykuły pierwszej potrzeby np. żelazo, węgiel, cukier, nafta itd. Dla lepszego zilustrowania działalności karteli zajmę się bliżej cukrem. Cukrownictwo należy do najlepiej zorganizowanych gałęzi przemysłu. Fabrykacja, ceny, eksport—wszystko to znakomicie jest uregulowane. Wszyscy mogą podziwiać świetnie zorganizowaną propagandę spożycia cukru. Znany napis: „cukier krzepi" widnieje w najbardziej zapadłych miejscowościach.

Niestety, krzepi, ale cukrowników, nie szeroki ogół. Nie każdy dziś może sobie pozwolić na kilo „krzepiącego" artykułu. Na skutek akcji opinji społecznej cena nieco została obniżona. Jest ona jednak jeszcze zbyt wielka, aby krok ten miał większe znaczenie. Następnie cukrownicy potrafili obniżkę przerzucić na rolników, którzy i tak w bardzo ciężkim znajdują się położeniu. W rezultacie w tych ciężkich czasach stwarza się nieliczna warstwa uprzywilejowanych. Przycichła w ostatnich latach nienawiść klasowa znów wybuchnie. Ci wszyscy, którzy zbijają fortuny powinni pamiętać, iż propaganda komunistyczna nie ustaje w kreciej robocie. Historja jest mistrzynią życia. Niech sobie przypomną dzieje carskiej Rosji.

W połowie XIX wieku sądzono, iż cała Europa pogrąży się w konwulsjach rewolucji socjalnej. Dola ówczesnego robotnika była straszna. Dzięki ideologji chrześcijańsko-społecznej wiele zrobiono dla polepszenia doli proletarjatu i po przez stopniowe reformy płac, warunków pracy, ubezpieczenia społeczne, zażegnano niebezpieczeństwo. Encykliki Ojca Świę-

tego Leona XIII były „magna carta libertatum" ludu pracującego. Dziś znów kopie się przepaść pomiędzy przemysłowcem a robotnikiem. Każdy, komu na sercu leży dobro ludzkości winien się tej nikczemnej robocie przeciwstawić. Przedewszystkiem my katolicy musimy żądać przestrzegania zasad chrześcijańskich w życiu codziennem. Nie wolno nam spokojnie patrzeć na niedolę miljonów. Ojciec Święty Pius XI w encyklice „Quadragesimo Anno" nawiązał do tradycji Leona XIII i jego słynnej „Rerum novarum". Apel najwyższego Pasterza nie może przebrzmieć bez echa. Musimy podjąć wielkie myśli głoszone przez Ojca Świętego i iść z nimi w życie.

Kryzys dzisiejszy to przedewszystkiem kryzys moralny. Chwieje się spoganiały, przeżarty egoizmem ustrój kapitalistyczny. Ręka Boża oddawna już wypisała na nim złowróżbne „Mane, Tekel, Fares". Złoty cielec zbyt wiele pochłonął już ofiar, musi runąć. Materjalizm może przynieść chwilowe korzyści, ale nie może wystarczyć na dłuższą metę. Pieniądz może być środkiem i to potężnym środkiem, ale nie wolno z niego robić celu. Dziś dla wielu jest on religją, nowem objawieniem, bóstwem. Gotowi są do niego iść po przez łzy i niedolę ludzką.

Odzywają się nawet głosy, że cały współczesny kryzys jest machinacją bankierów, którzy spowodowawszy sztucznie drożyznę pieniądza, wielokrotnie pomnożyli wartość swych kapitałów.

Jest to bardzo podobne do prawdy. Wszystkim jest wiadomem, iż w taki sposób sztucznie śrubują cenę kawy plantatorzy południowej Ameryki. W Stanach Zjednoczonych znów projektuje się zniszczenie dużych ilości pszenicy. Dzieje się to w czasach, gdy miljony ludzi cierpi głód. W Chinach i w Indjach Wschodnich tysiące ginie z braku pożywienia. Powyższe fakty świadczą, iż pewne warstwy społeczne są wyzute ze wszelkich „ludzkich" pierwiastków. Człowiek otrzymał od Boga pewne dobra dla korzystania z nich w godziwy sposób i podtrzymania życia. Nie wolno tych darów Bożych dla celów egoistycznych marnować.

Ramy krótkiego artykułu nie pozwalają niestety szerzej rozwinąć paradoksów życia współczesnego. Niejednokrotnie jeszcze do tych zagadnień powrócimy. Czas wreszcie w te

sprawy bliżej wejrzeć i podjąć reformę. Praca nie będzie łatwa. Trzeba zmienić od podstaw duszę człowieka XX wieku. Inne musi być nastawienie jednostki do spraw życiowych. Należy patrzyć na sprawy ziemskie nietylko pod ciasnym kątem doczesnym, ale wziąć pod uwagę pewne wyższe wartości. Człowiek nie jest zwierzęciem, nie może mu wystarczyć tylko „użycie". Czas, aby materjalistyczne teoryjki poszły tam, gdzie jest ich właściwe miejsce — na śmietnik historji. Ich dziełem jest współczesny kryzys. Gdyby nie było tego morza egoizmu i wyzysku, gdyby innemi torami szła gospodarka światowa, nie byłoby bezrobocia i jego straszliwych skutków. Trzeba ludziom przypomnieć altruistyczne zasady religji i moralności Chrystusowej, skoro zostaną wzmocnione podstawy moralne człowieka, cały szereg problematów zostanie rozwiązanych i zniknie wiele bolączek nas gnębiących. Przedewszystkiem należy wywalczyć, aby widzianą w człowieku nietylko siłę roboczą, ale i bliźniego, który ma prawo do życia i szczęścia osobistego. *Zygmunt Prószyński.*

Stróże Jasnej Góry — OO. Paulini.

W związku z jubileuszem sprowadzenia Cudownego obrazu Matki Bożej na Jasną Górę łączy się ściśle jubileusz sprowadzenia na ziemię polską stróżów tego skarbu narodowego białych OO. Paulinów. Władysław książę Opolski, umieszczając obraz Cudowny na Jasnej Górze, oddaje jednocześnie straż nad nim zakonnikom św. Pawła I pustelnika. Dlaczego właśnie im, a nie komu innemu, powierzył książę pieczę nad obrazem, nie jest rzeczą trudną do wytłumaczenia.

Będąc krewnym króla Ludwika Węgierskiego, młody książę otrzymał wychowanie na jego dworze, a potem często odwiedzając w stolicy Węgier swego królewskiego kuzyna, wspólnie odwiedzali klasztory paulińskie, gdyż Ludwik był wielkim przyjacielem Zakonu. Jak kroniki węgierskie podają, król często odwiedzał klasztor św. Wawrzyńca pod miastem Budą, brał udział w ćwiczeniach duchownych, tam oczyszczał swoje sumienie i obdarzał Zakon wielkiem zaufaniem. To za-

ufanie do Paulinów zwiększyło się jeszcze, gdy król uwikłany w wojnę z potężną naówczas Wenecją zaczął stygnąć w zapale na widok niepomyślnych rezultatów i był bliski zwątpienia. Paulini podnosili go na duchu, modlili się i przepowiedzieli, że wojna skończy się dla Węgier pomyślnie. Tak się też stało. W 1381 r. po kilku latach krwawych zmagań stanął zwycięski pokój z Wenecją. To też zapewne pod wpływem króla Ludwika, a także i ogólnej opinji o wielkiej świątobliwości Paulinów, których św. Jan Kapistran nie zawahał się nazwać „aniołami w ludzkiem ciele"—książę Opolski, wybierając zakon na stróżów obrazu Matki Bożej, upatrzył go sobie w Paulinach.

Skąd Zakon OO. Paulinów bierze swój początek?

Ojcem i patryarchą tego zakonu jest św. Paweł I pustelnik, żyjący w IV wieku po Chrystusie. Jako młodzieniec ucieka z domu z powodu prześladowania Decyusza i ukrywa się w pustyniach Tebaidy, w górnym Egipcie, gdzie w surowem życiu i ciągłej modlitwie dożył lat 113. Po jego śmierci znalazło się wielu naśladowców tak, że według współczesnych historyków, a zwłaszcza św. Hieronima, pustynie Tebaidy zaludniły się samotnikami. Z Afryki życie pustelnicze przeniosło się do Europy i w XII wieku południowe części Węgier posiadały już bardzo wielu takich ludzi, którzy w samotności, zdala od świata, w ustroniach, lasach i pieczarach w ciągłej modlitwie naśladowali św. Pawła i nazywali się jego synami. Właściwy początek dał zakonowi bł. Bartłomiej, biskup pięciu kościołów na Węgrzech, w którego diecezji, w samotnych górach i lasach przebywało najwięcej pustelników. On to w roku 1215 zbudował olbrzymi klasztor św. Jakóba w Patalch, umieścił w nim część pustelników, dał im regułę życia i tym sposobem stworzył wielkie ognisko życia zakonnego, skąd przykład świętości i modlitwy rozchodził się po całej djecezji. Około roku 1250 podobny klasztor założył bł. Euzebjusz, kanonik ostrzychomski, który, opierając się na widzeniu, zebrał pustelników w djecezji ostrzychomskiej i umieścił ich w klasztorze św. krzyża w Pilisium. W 1261 r. bł. Euzebjusz udaje się do Rzymu i przy poparciu św. Tomasza z Akwinu otrzymuje od Urbana IV zatwierdzenie zakonu. P. Bóg błogosławił nowemu zakonowi, a sława jego świętości sprawiła, że pod

koniec XIV wieku było na samych Węgrzech przeszło 70 klasztorów dobrze zorganizowanych, pełnych gorliwych zakonników, gdzie dniem i nocą bez przerwy chwalono Boga. Tak np. klasztor św. Wawrzyńca pod Budą miał 500 zakonników. Z Węgier Paulini rozeszli się po Europie, a jednym z pierwszych krajów, dokąd się przenieśli ojcowie była ziemia polska.

* * *

OO. Paulini w liczbie 16, sprowadzeni przez Władysława Opolczyka w 1382 roku na Jasną Górę, byli nasieniem, z którego wyrość miało na polskiej ziemi wspaniałe drzewo, przysparzające Ojczyźnie siły i chwały. Klasztor Jasnogórski był macierzą wszystkich klasztorów tejże reguły: tu rezydował prowincjał, a dzieje tego klasztoru są tak ściśle połączone z dziejami innych klasztorów paulińskich, że jego historja jest historją Paulinów w Polsce. Wszystkich klasztorów w Polsce zakon posiadał 25, z których jedynie Jasnogórski przetrwał przez wszystkie burze i prześladowania. Matka Boża cudownie zachowała go od powszechnej zagłady. Zakon OO. Paulinów tak jest ściśle i wewnętrznie zespolony z Jasną Górą, tyle wieków biały habit strzegł tu narodowych świętości, tyle się przyczynił do podniesienia jej uroku i wielkości, tak wiernie dzielił z nią radości i bóle, że Jasna Góra a Paulini tworzą jedno nierozerwalne pojęcie. Chwała i wielkość Zakonu w Polsce rosła i potężniała z chwałą i wielkością Jasnej Góry, a jej nieszczęścia robiły głębokie rany i wyrwy w Zakonie. Bł. Stanisław Oporowski, Kozbiałowicz, Żywiecki, Kordecki, Czechowicz, Krasuski, Gołdonowski, Muszyński — to kolumny i luminarze Zakonu,—a to światło, którem jaśnieli i siłę, którą w sobie czuli, nie skądinąd, jeno u stóp Matki Bożej na Jasnej Górze czerpali. Na Jasnej Górze wzrósł i spotężniał duch pauliński, a na niego składały się nietylko cnoty ściśle zakonne jak: ubóstwo, czystość i posłuszeństwo ale i pewna rycerskość, zdrowy patryotyzm i szczególniejsze ukochanie polskiej ziemi. Świętości w nim nie brakowało i każde pokolenie wydawało ze swego grona szereg takich, co oderwani od ziemi duchem tylko żyli, i miłością Bożą spaleni, godni są czci na ołtarzach naszych.

Odwieczna jednak tradycja, mająca swoje podłoże w niskim o sobie rozumieniu twórców zakonu nie pozwalała nigdy

wszczynać starań o ich kanonizację. Nauka i oświata kwitnęła w Zakonie, a takie umysły wybitne jak: Gruszkowicz, Staszewski, Czechowicz, Moszyński mogły śmiało stanąć w szeregu największych uczonych ówczesnej Europy. To też Klemens X bullą z dnia 3 kwietnia 1671 r. nadał O. Generałowi Paulinów prawo nadawania dyplomu Doktora św. Teologji i Filozofji swoim zakonnikom. Nie zasklepiają się jednak w swoim własnem kółku, lecz pochodnię oświaty niesiono wszędzie; przy klasztorach paulińskich zwykle zakładano szkoły, które były wśród ludu rozsadnikami zdrowej wiedzy i gruntownej cnoty.

W Zakonie Paulinów spotykamy potomków prawie wszystkich znakomitych rodów polskich, zarówno jak i przedstawicieli niższych warstw: jest to jeden z dowodów, że Jasna Góra, jako sanktuarjum narodowe, pociągała ku sobie serca wszystkich Polaków.

Pięć i pół wieków łączy Zakon Paulinów z Jasną Górą. Obrani przez Księcia Opolskiego za stróżów tego miejsca świętego, pozostali nimi do dnia dzisiejszego. I choć tyle zakonów, tyle klasztorów moskiewska przemoc usunęła z polskiej ziemi—na Jasną Górę i jej stróżów targnąć się nie śmiała, choć wiedziała, że bez nich łatwiej by jej poszło przeprowadzenie antykatolickich i antypolskich zamiarów.

Snać rozumiano dobrze w Petersburgu, że biali Ojcowie tak się zrośli z Jasną Górą i tak są zespoleni z cudownym Obrazem, że usunąć ich znaczyłoby coś oderwać od całości, która zajmuje najświętsze miejsce w sercu każdego Polaka. Po ostatniem powstaniu w 1864 r. wszystkie klasztory Paulińskie skasowano; pozostawiono tylko Zakon na Jasnej Górze. By jednak zgangrenować ducha zakonnego, ducha miłości Boga i Ojczyzny, Rosja nałożyła kaganiec wyjątkowych praw, pod naciskiem których duch ten miał słabnąć, psuć się, koszlawić.

Coprawda, cały Kościół katolicki w Polsce jęczał pod batem ciemiężcy, lecz skutki tego najwięcej uwydatnić się musiały w Zakonach, według znanej zasady filozoficznej: Corruptio optimi pessima (Najwstrętniejsze jest zepsucie rzeczy najlepszej).

Klasztor Jasnogórski, pozostawiony przez Rosjan, jak oaza na pustyni, pozbawiony możności wszelkich stosunków z Rzymem, ograniczony w przyjmowaniu i wychowaniu swoich nowicjuszy, krępowany samowolą miejscowych władz, których zadaniem było wprowadzenie do klasztoru rozluźnionego życia, a tłumienie wszelkich objawów zasad klasztornych, — był oderwany niejako od swego środowiska, był gałązką, odciętą niejako od pnia, żywą jeszcze, ale tylko wegetującą, wystawioną na wszelkie wpływy ujemne, a nie zasilany sokami pnia, z którego wyrosła.

Każdy, zdaje się, rozumie, że duch zakonny, jako doskonalszy od innych potrzebuje lepszej gleby, odpowiednich warunków i atmosfery Skoro tylko zabraknie jednego z nich, prędzej czy później musi nastąpić jeśli nie zanik, to przynajmniej spaczenie tej idei, której Zakon służy. Dopóki wszystkie warunki były, Zakon rozwijał się, wzrastał i tyle chwały przyniół Jasnej Górze i całej Ojczyźnie, tłumiony zaś, skuty i demoralizowany — musiał się paczyć i od dawnego pionu w niejednem się odchylił, stąd wytłumaczenie smutnych wypadków z r. 1910. Taką atmosferę wprowadzał rząd rosyjski do klasztoru, niech zaświadcza fakt, że kiedy w 1912 r. kapituła klasztorna wydaliła pięciu kleryków, nieodpowiadających swemu powołaniu, rząd rosyjski wziął ich w obronę, potajemnie z niemi prowadził konszachty przeciw władzy klasztornej, poradził nie usuwać się z klasztoru i przez kilka miesięcy podtrzymywał jawny bunt. Dopiero oburzenie opinji publicznej miejscowej i zagranicznej, zmusiło rząd rosyjski do uznania uchwał Kapituły i do usunięcia wydalonych z klasztoru.

W wolnej Ojczyźnie Zakon OO. Paulinów odzyskuje powoli swą dawną żywotność. Jak wątła roślina wyrosła w cieniu, pod wpływem ciepła i światła nabiera rozpędu siły i życia, tak się też i tu stało. — Gdy z wybuchem wojny pękły pęta niewoli, jakkolwiek ciężkie były warunki okupacji, duch zakonny nie tłumiony świecką przemocą wroga, w krótkim czasie rozwijać się począł. — Od lipca 1910 r. przeorem klasztoru był O Justyn Weloński, człowiek życiowo doświadczony, zahartowany prześladowaniem Rosjan, krzepki duchem, mimo wieku podeszłego. Był on kiedyś sekretarzem Arcybi-

skupa Felińskiego, spędził na zesłaniu w Rosji lat kilka, potem był w Płocku regensem seminarjum i prałatem katedralnym, — i z Płocka wstąpił do klasztoru. Mąż niezłomnych zasad, w przeprowadzeniu postanowień nieugięty, umiał przekonań swych bronić i za nie cierpieć. Zmarł 16 października 1915 r. Od tego czasu aż do połowy października 1931 r. głową na Jasnej Górze, a jednocześnie zwierzchnikiem całego zakonu Ojców Paulinów był Ojciec Piotr Markiewicz, który od 1920 r. na skutek dekretu Rzymskiej Kongregacji nosił tytuł i władzę Generała. Mąż kryształowego charakteru i pełen ducha zakonnego potrafił w ciągu 16-tu lat swego przełożeństwa nietylko przyozdobić Jasną Górę nowemi monumentalnymi budynkami, ale co najgłówniejsze, dla rozwoju życia zakonnego był człowiekiem wprost Opatrznościowym. W 1930 roku jego staraniem zostały zatwierdzone konstytucje zakonne dostosowane do czasów obecnych i opatrzone specjalnem błogosławieństwem Ojca św. Piusa XI-go. Na podstawie tych konstytucyj urząd Generała Zakonu został oddzielony od urzędu Przeora Jasnogórskiego i została zwołana kapituła generalna, na której Generałem Zakonu został Ojciec Pius Przezdziecki, a przeorem został Ojciec Dominik Zienkowski.

W ten sposób, Zakon otrzymawszy należytą organizację, może spokojniej, jaśniej patrzeć w przyszłość. Ojciec zaś Piotr Markiewicz, widząc, że spełnił zadanie jakie na niego Zakon włożył, dobrowolnie usunął się od wszelkich proponowanych mu urzędów i prosił, jako o największą łaskę, by mógł przez kilka lat odpocząć w jakim cichym klasztorze.

Obecnie na Jasnej Górze jest 25 zakonników; w tej liczbie 10 braci. Liczba, jak na Jasną Górę — bardzo skromna i nie byłoby za dużo, gdyby ich było trzy razy tyle. Prócz Jasnej Góry Ojcowie mają klasztor na Skałce w Krakowie, gdzie jest obecnie Juwenat t. j. mniejsze seminarjum dla chłopców, pragnących poświęcić się P. Bogu i Matce Bożej w Zakonie; jest tam również i klerykat, gdzie młodzież zakonna po złożeniu ślubów przygotowuje się do kapłaństwa, uczęszczając na wykłady do Instytutu Teologicznego księży Misjonarzy. Nowicjat zaś od 1928 r. mieści się w Leśnej na Podlasiu.

Paulini posiadają dotychczas trzy klasztory i obecnie są tylko w Polsce, spodziewać się jednak można, że w Odrodzonej i Wolnej Ojczyźnie skoro wzrośnie liczba synów św. Pawła, biały habit zawita i w tych okolicach, skąd go przemoc wygnała. Obecnie Biskupi węgierscy czynią wszelkie usiłowania, ażeby Paulini powrócili znowu na Węgry, gdzie jest ich kolebka i gdzie Józef II-gi cesarz Austrji wszystkie klasztory paulińskie skasował. Ojcowie Paulini wierzą głęboko, że obecny jubileusz sprowadzenia cudownego Obrazu i zarazem jubileusz sprowadzenia ich na polską ziemię, da młodzieży polskiej sposobność do zaznajomienia się z tym Zakonem i przez przyczynę Jasnogórskiej Pani obudzi niejedno dobre powołanie do królewskiej służby Matki Bożej na Jasnej Górze.

W wolnej Polsce, by stała się mocarną, wielką i bogatą, dużo jest do zrobienia; przedewszystkiem jednak potrzeba, by duch Narodu był zdrowy, silny i na wierze katolickiej oparty. W tem urobieniu ducha Narodu, w oczyszczaniu go z wad i przywar, w kształtowaniu wielkich charakterów na wzór naszych praojców — Jasna Góra zajmuje jedno z pierwszych miejsc. Praca więc nad Narodem i jego duszą, nad ugruntowaniem całości duchowej Ojczyzny, nad wyrobieniem w dzisiejszych czasach tężyzny moralnej — to zadanie Zakonu Ojców Paulinów na Jasnej Górze. Czy może być coś wspanialszego, coś bardziej dla szlachetnych, ofiarnych i młodych serc pociągającego? Czy można pożyteczniej życie swoje spędzić, jak ofiarując je Matce Bożej w darze, jako jej sługa, dworzanin czy stróż.

Paulini są obecnie wyłącznie polskim Zakonem, a duch patryotyzmu, jaki nieraz ujawniali w historji polskiej, zrobił z nich Zakon Narodowy; to też w dniu Jubileuszu mają obowiązek i prawo odwołać się do społeczeństwa o ofiarę z tego co ma najszlachetniejszego, tj. ze swych synów.

Im więcej będzie stróżów na Jasnej Górze, tem więcej przez nich czynić będzie Maryja, tem owocniejsza będzie ich praca, tem większa chwała Boża w Ojczyźnie, a gdy z Jasnej Góry pójdą Paulini do innych krajów, zaniosą ze sobą cześć i chwałę dla swej polskiej Ojczyzny.

Wszelkich informacyj w sprawie wstąpienia do Zakonu chętnie udziela Przełożony Generalny na Jasnej Górze.

O. Aleksander, Paulin.

Dziwne drogi..

W „Neue Freie Presse" podniesiono kiedyś wielki alarm z racji stracenia przez powieszenie dwóch trucicielek na Węgrzech. Autor w obszernych wywodach rozdziera szaty, piętnując w ostrych słowach „tak niebywałe okrucieństwo". Stanowisko to skądinąd słuszne nasuwa smutne refleksje. — Oto zatraciliśmy zmysł wielkości i proporcjonalności uczuć. Oburza nas i całą opinję ukaranie zwyrodniałych zbrodniarek, a spokojnie pomijamy milczeniem szereg o wiele gorszych i boleśniejszych krzywd. Przewozimy samolotami do ciepłych krajów kilkadziesiąt tysięcy jaskółek zaskoczonych przez wczesną zimę; a jednocześnie obojętnie słuchamy wieści o głodowej śmierci 10 miljonów Chińczyków i przechodzimy do porządku nad prześladowaniem kościoła w Hiszpanji.

Nikt też nie myśli o ratowaniu tych, którzy życie swe złożyli na ołtarzu miłości bliźniego.

A co się stało z tym wspaniałym humanitaryzmem na przedmieściach i w fabrykach, gdzie robotnik za 70 szylingów miesięcznie ma wyżywić i ubrać liczną rodzinę, podczas gdy jeden z dyrektorów w tej samej fabryce pobiera 40.000 szylingów a więc 571 razy więcej.

Dlaczego o tem się milczy, dlaczego o tem nie piszą w gazetach? Dlaczego godzimy się ze spokojnem sumieniem na 40 gr., jako wystarczający budżet dzienny rodziny bezrobotnej? Dlaczego piszemy o tylu wspaniałych luksusowych uczuciach, a nie mamy czasu na pomyślenie o zwykłej, skromnej kromce chleba, dla wielu, może nawet bardzo wielu ludzi?

Przeraża nas stracenie dwóch zbrodniarek węgierskich, a spójrzmy na własne dłonie. Czy nie plami ich krew, krew niewinnych ofiar naszego samolubstwa, egoizmu i niesprawiedliwości społecznej.

Wczoraj przyszedł do mnie jakiś taki sobie zwyczajny pan z inteligencji. — Dziennikarz. Do niedawna zagraniczny

korespondent pism polskich, obecnie bezrobotny, wyrzucony na bruk rozbitek. Nie ma tu nikogo, nie ma za co rąk zaczepić. Prosił choć o parę złotych, o parę złotych pożyczki.

— Przecież kiedyś musi się to zmienić — tłómaczył, — ja oddam, ja żebrać nie chcę, nie mogę.

— A jeśli nikt mi nie pomoże — kończył z dziwnym błyskiem w oczach, to muszę jakoś skończyć z tą straszną wegetacją.

Ale poco sięgać aż do osobistych wrażeń i rozmów. Wystarczy wziąść pierwszą lepszą gazetę i przejrzeć kronikę:

Oto czytamy sami:

W Rembertowie otruł się nieznaną trucizną 29-letni robotnik Jan K. Nieszczęśliwego w stanie groźnym przewieziono do szpitala. Jak ustaliło dochodzenie policyjne, powodem samobójstwa był głód i brak pracy. K. nie jadł od 8 dni.

A dalej:

Na ul. M. wydarzyła się tragedja, która wstrząsnęła mieszkańcami okolicznych domów. Oto 18-letnia Zofja W. zatrudniona w fabryce puszek a zam. przy matce wdowie została zwolnioną z pracy. W piątek wieczór przyszła do swej przyjaciółki. Pozornie rozmawiała zupełnie spokojnie, aż nagle zbliżywszy się do balustrady balkonu skoczyła na bruk. Zbiegli się natychmiast mieszkańcy domu, aby ratować desperatkę, dającą już tylko słabe oznaki życia. Przybyło również pogotowie, a lekarz stwierdził u nieszczęśliwej złamanie podstawy czaszki, złamanie nogi oraz obrażenia wewnętrzne. W beznadziejnym stanie przewieziono desperatkę do szpitala.

A takich notatek mamy bardzo, bardzo wiele. Tak wiele, że znalazł się nawet przedsiębiorca, który chciał otworzyć w Warszawie specjalny sklep dla samobójców. Miały się tam znaleźć najrozmaitsze sznurki, rewolwery automatyczne, pigułki trujące itp.

Dwie teorje starają się tłómaczyć nasilenie samobójstw. Jedna uzależnia skłonności samobójcze od temperatury, druga t. zw. socjologiczna od sił żywotnych jednostek i warunków społecznych. W odniesieniu do stosunków naszych można mówić przedewszystkiem o tej drugiej koncepcji.

Nędza bierze ludzi w swe okropne szpony, zabija w nich wszelka energję i gasi nawet nadzieję. My przechodzimy koło

tych jednostek obojętnie, tak obojętnie, jakby ci ludzie przestali dla nas istnieć, jakby już ich wogóle nie było. I niepostrzeżenie sączy się do duszy jad rozpaczy.

Odchodzą też ci ludzie od nas z bluźnierstwem na ustach, w nienawiści i żalu. A zresztą czy tylko oni, czy tylko nędzarze i wykolejeńcy? Iluż odchodzi nawet w dostatkach, a jednak bez Boga i bez miłości. Nie znaleźli bowiem na drodze życia serca, nie znaleźli człowieka, któryby im pomógł dźwignąć się ku słońcu. Przypominam sobie taką skromną, zwykłą historję.

— Proszę mi nie przeszkadzać, — chcę mieć spokój przed śmiercią — mruczy wściekle chory gruźlik, — i odwraca się z pogardą od odwiedzającej. — Zdechnę tak samo jak pies, — i zgniję w ziemi jak każde inne zwierzę — dodaje, — i przymyka oczy na znak, że dalsza rozmowa jest wykluczona.

Chory liczy zaledwie lat 25,—ma żonę i kilkomiesięczne dziecko. — Biedy u nich niema.

Gorycz jednak wzbiera w jego sercu na myśl, że wszystko to trzeba będzie opuścić, niedługo, może nawet za kilka dni. —

I za co, za co taki marny los? — Żyją leniuchy, pijaki, złodzieje, nieroby, — a on pilny, zdolny rzemieślnik, uczciwy mąż i ojciec musi odejść! — Niema sprawiedliwości, — bodaj to cholera...

— I jeszcze mówicie, że jest Bóg, — a niech was...

I z ust chorego sypią się znów przekleństwa.

Niema rady, niema sposobu ujęcia go czemkolwiek; ma wszystko, czego choremu potrzeba: czystą pościel, staranną i wierną opiekę, ma wreszcie dobre pożywienie, o ile je przyjąć jeszcze może. Na stoliku przy łóżku stoi nawet butelka wina, sok i owoce.

— Proszę sobie pójść i nie zawracać mi więcej głowy, — decyduje ostatecznie chory. Opiekunka wychodzi cicho. — Nie trzeba drażnić. Lecz w pokoju chorego niema kwiatów.

Nazajutrz opiekunka powraca z bukietem.

— To bławatki już kwitną? — dziwi się chory. Z zainteresowaniem robi przegląd przyniesionych ziół. Potem żąda wazonu i każe przyniesiony bukiet postawić blisko łóżka,

— Bardzo lubię kwiaty, — mówi łaskawie — bardzo za niemi tęsknię — a tak dawno nikt nie pomyślał, aby mi je przynieść.

Odtąd co dnia przynosi opiekunka wiązankę najrozmaitszych kwiatów. Nie rozmawia się o rzeczach poważnych, mówi się ot tak lekko, o wszystkiem,—nowinki dnia, ciekawe rzeczy z gazet, ploteczki. Chory czasem śmieje się, czasem, słucha obojętnie, czasem zaczyna bluźnić, obserwując z pod oka „gościa", czy się gorszy. Ale „gość" przeważnie nie słyszy takich wycieczek, — i chory trafia swojemi zatrutemi strzałami w próżnię.

Pewnego dnia opiekunka przynosi róże, śliczne pachnące, pąsowe róże. Chory unosi się na łóżku rozradowany.

— Ogromnie lubię róże — szepcze, — najwięcej z wszystkich kwiatów, proszę mi je podać. — Chory odbiera kwiaty, przykłada je do ust, do twarzy, tuli do piersi. Coś jest w tem z macierzyństwa i coś z podświadomej tęsknoty za słońcem i życiem.

— Lubi pan róże, to tak samo jak mała Tereska z Lisieux, — ryzykuje pani.

— Słyszałem coś o niej. — Modna święta, — uśmiecha się chory, lecz tym razem bez zwykłej złośliwości.

Pani zaczyna wspominać rozmaite szczegóły z życia małej świętej. I dziwna rzecz, chory zamiast bluźnić, układa się wygodnie z różami przy twarzy i słucha... słucha milcząc...

Tego samego dnia Karmel otrzymuje prośbę o modlitwę i ofiarowuje w zamian relikwie, obrazek i kilka róż z własnego ogrodu.

— Tereska przysyła swój portret i małą pamiątkę, a dzisiejsze różyczki to z jej ogrodu. Czy pan przyjmie, — czy mam zabrać z powrotem? — pyta nazajutrz opiekunka.

— Niech pani da to wszystko, może tu pozostać, — decyduje chory.

Rozmowa płynie tego dnia jakoś swobodniej i weselej. Chory słucha wielu rzeczy, na które poprzednio byłby odpowiedział najszkaradniejszem bluźnierstwem. Jest łagodny, spokojny, prawie radosny.

Lecz czas nagli, — nie można dłużej zwlekać, — następnego ranka przychodzi ksiądz z ostatnią przysługą.

— Cholera, — a niech tą panią piorun strzeli, — klnie po raz ostatni w życiu chory, — W następnej jednak chwili pozwala usiąść księdzu przy łóżku i pozostaje długo... długo — sam na sam...

Twarz umierającego rozjaśnia wewnętrzna pogoda, — oczy są dobre i spokojne.

Ale, gdy kto zbliża się do łóżką, odwraca się do ściany i kryje wstydliwie twarz.

— Namówili go, — ładny kawał. Co powiedzą towarzysze z partji.

A jednak... a jednak tak mu dobrze!

W następnych 24 godzinach chory umiera, spokojny i pojednany z Bogiem.

Dziwnemi zaiste drogami idzie apostolstwo świeckich.

Brat Cezary.

Na froncie walki.

Polski świat naukowy w obronie autonomji uniwersyteckiej — Typ państwa-Molocha — Polityka ministra Jędrzejewicza — P. Rajchman ma też swoją linję — Dwutorowość w polityce religijnej i kościelnej Rządu — Tolerancja wobec sekt — Zuchwałość i pewność siebie wrogów Kościoła — „Bramy piekielne nie zwyciężą Go".

Piszemy już w innym miejscu o grożącym faktycznie zniesieniu autonomji Uniwersytetów. W sprawie tej, niezmiernie ogół interesującej i niepokojącej — przybyły nowe fakty. Oto, jak donosi prasa codzienna — w dniach 6 i 7 listopada „obradowała w Warszawie konferencja rektorów szkół wyższych. Przedmiotem narad był nowy projekt ustawy o organizacji szkół wyższych. Konferencja rektorów podtrzymała jednomyślnie stanowisko, jakie zajęli rektorowie na sesji z ministrem wyznań religijnych i oświecenia publicznego w dniu 23 września 1932 r., iż dla pomyślnej działalności i rozwoju szkół wyższych jest rzeczą konieczną utrzymanie autonomji nietylko nauki i nauczania, ale także w zakresie wychowawczym i ad-

ministracyjno-naukowym. Konferencja wręczyła panu ministrowi memorjał w tej sprawie".

Stanowisko zajęte w tej sprawie przez rektorów wyższych zakładów naukowych omawia w sposób następujący krakowski „Głos Narodu":

Komunikat rektoratu U. J. precyzuje ściśle i jasno stanowisko rektorów wszystkich wyższych szkół akademickich w Polsce wobec projektu ustawy o organizacji szkół wyższych, pod którą to skromną nazwą ukrywa się wyraźne dążenie do ograniczenia autonomji uniwersyteckiej. Stwierdzają oni ponownie, iż „dla pomyślnej działalności i rozwoju szkół wyższych jest rzeczą konieczną utrzymanie autonomji nie tylko dla nauki i nauczania, ale także w zakresie wychowawczym i administracyjno-naukowym".

Komunikat rektoratu U. J., jak również jednobrzmiący komunikat, wydany przez rektoraty innych szkół akademickich w Polsce, ukazał się bardzo na czasie, bo z różnych stron usiłowano celowo zaciemnić istniejący w tej dziedzinie stan rzeczy. Były i są jeszcze robione usiłowania, aby wywołać wrażenie, jakoby stanowisko władz uniwersyteckich wobec projektu p. Jędrzejewicza nie było jednolite, jakoby wsród nich powstała różnica poglądów w tej tak niesłychanie ważnej sprawie. Zbiorowe oświadczenie rektorów kładzie kres tym sugestjom, pochodzącym ze znanych źródeł i rozpowszechnianym dla wiadomych celów. Sytuacja jest jasna: cały polski świat naukowy, cała elita umysłowa w Polsce wypowiada się przeciwko zamachowi na autonomję uniwersytecką.

Wprawdzie p. minister Jędrzejewicz powołał do życia „radę", złożoną przeważnie z urzędników podległych służbowo p. ministrowi i „rada ta w głosowaniu jawnem uchwaliła po dłuższej dyskusji rezolucję, idącą w kierunku koncepcji ministerjalnej. Dla nikogo jednak bezstronnego nie ulega żadnej wątpliwości, że werdykt takiego ciała nie może mieć większego autorytetu od jednomyślnego poglądu rektorów. Zresztą nawet i w tej „radzie" odezwały się głosy krytyczne... Całe to przedsięwzięcie wyglądało na inscenizację zasięgnięcia opinji czynników objektywnych, aby P.A.T. mógł głosić, że zebrała się „rada" i wydała opinję przychylną p. ministrowi...

Na podstawie dotychczasowych faktów można wnosić z dużą dozą prawdopodobieństwa, że rząd przejdzie do porządku dziennego nad opinją rektorów i większości ciała profesorskiego, nad protestami opinji publicznej i zamierzenia swoje doprowadzi do skutków ze szkodą dla nauki i rozwoju wyższych uczelni.

Jesteśmy bowiem w okresie ustawowego wzmacniania

dyktatury. Konstytucji wprawdzie nie zmieniono, natomiast wydano szereg ustaw, które ani z jej duchem, ani nawet z literą nie mają nic pokrewnego.

Słusznie ocenia tę politykę ustawodawczą katolicki publicysta z „Głosu Narodu":

Treść i tendencja tych reform są bardzo jasne. Mają wydać społeczeństwo rządowi w ręce, zatrzeć różnicę między państwową, a społeczną dziedziną życia, — między publicznym a prywatnym porządkiem. Mają zrealizować heglowski typ „państwa - bóstwa", któremu wszystko należy złożyć w ofierze!

Ten typ państwa uważamy za niesprawiedliwy w stosunku do społeczeństwa, a zgubny dla samego państwa...

Katolicka socjologja (list Piusa X o francuskim „Sillon") uczy, że społeczeństwo wyłania z siebie władzę, że więc władza jest tylko jego narzędziem, — że skutkiem tego istnieje naturalne rozgraniczenie dwóch porządków: politycznego i społecznego; pierwszy ma zmierzać ku utrzymaniu państwa, drugi ma gwarantować społeczeństwu swobodny rozwój w granicach dobra wspólnego. Władza więc — według katolickiej socjologji — nie tylko nie ma prawa pochłaniania społeczeństwa i nadawania politycznego charakteru każdej dziedzinie jego życia, ale — co więcej — winne pilnować, żeby społeczeństwo mogło swobodnie iść za swojemi uprawnionemi interesami religijnemi, kulturalnemi, gospodarczemi itp. Państwo zaś, które działa inaczej, godzi samo w siebie.

„Państwo — pisze Leon XIII w enc. „Rerum Novarum" — zakazując prywatnych związków obywateli, podważałoby własne swoje podstawy, skoro tak samo ono, jak i związki prywatne, z jednego pochodzi źródła, ze społecznej natury ludzkiej".

Zdaniem więc Leona XIII państwo, oparte o dyktaturę jest przeciwne prawu natury, więc niesprawiedliwe.

Tendencja do nadania państwu charakteru „państwa-Molocha" jest ponadto zgubną dla samego państwa... Wywołuje poczucie krzywdy w społeczeństwie, prowokuje reakcję w jego łonie.

Oto rozdziały tego dzieła grupy rządzącej: ustrój szkoły powszechnej i średniej, szkolnictwo prywatne, pragmatyka nauczycieli, profesorów i urzędników, czasowe zawieszenie niezawisłości sędziowskiej, dekret o reorganizacji Najw. Trybunału Administracyjnego, upaństwowienie „Strzelca", prawo o zgromadzeniach, a wreszcie prawo o stowarzyszeniach.

O tym ostatnim będziemy pisali szczegółowo w następnym numerze, a na razie zacytujemy zdanie socjalistycznego „Robotnika", który w danym wypadku ma najzupełniejszą rację:

„Prawo zgromadzeń wykonano już w ten sposób, że z wolności zgromadzeń uczyniono udrękę. Teraz przyszła kolej na wolność stowarzyszeń którą dekretem z 29 października poprostu przekreślono. Od 1-go

stycznia 1933 r. wolność stowarzyszeń będzie fikcją, albowiem obywatelskie prawo zawiązywania stowarzyszeń.. przelano na policję.

Nie obywatele decydują, czy stowarzyszenie, które zakładają, odpowiada „względom pożytku społecznego", lecz policja. Jeżeli policja uzna, że stowarzyszenie nie odpowiada tym względom, to może je rozwiązać, Policja awansuje tu do roli trybunału najwyższych wartości społecznych. i kulturalnych. Ona ma rozstrzygać, co jest pożyteczne dla społeczeństwa a co szkodliwe. Rozstrzygać według „racji stanu" B.B. i gnieżdżących się w nim „ciemnych figur" — wedle określenia p. Sławka.

Skoro o założeniu stowarzyszenia rozstrzyga policja, to rzecz jasna— o rozwiązaniu stowarzyszenia temci bardziej rozstrzyga policja".

Nie jesteśmy bynajmniej przeciwnikami silnej władzy państwowej. Przeciwnie uważamy, że tradycja silnej władzy i jej poszanowania winna być u nas zapoczątkowana i jest tym bardziej konieczna, że między wiekami XVI a XVIII wytworzyły się w naszym życiu państwowym najgorsze obyczaje anarchji i osłabienia autorytetu władzy i jej siły wykonawczej, co w głównej mierze przyczyniło się do upadku Polski.

Silnej władzy jednak nie można identyfikować z wszechwładzą nieograniczoną i przez nikogo niekontrolowaną. Władza u nas nie powinna być, tak, jak w państwach azjatyckich tyranem i samodzierżcą wobec społeczeństwa, lecz zdrową i normalną jego emanacją. Kontakt między państwem a społeczeństwem nie powinien opierać się wyłącznie na sile fizycznej, lecz także sięgać głębiej — w sferę zagadnień moralnych.

W przeciwnym bowiem razie prędzej, czy później dojdziemy do katastrofy. Żaden rząd nie może przez dłuższy czas sprawować władzy wbrew społeczeństwu, bez porozumienia z nim, chyba, gdyby w jego programie leżało systematyczne wyniszczenie społeczeństwa i osłabianie go, aż do krańcowego upadku moralnego i ekonomicznego. Gdyby taki eksperyment był możliwy, zakończyłby się niewątpliwie upadkiem państwa.

* * *

Niedawno „Gazeta Warszawska" ogłosiła artykuł wstępny p. t. „Nasze wpływy w świecie katolickim", w której poddaje ostrej krytyce brak aktywności i dostatecznej prężności ze strony „żywiołu katolickiego w Polsce w dobie obecnej". Nie ze wszystkimi twierdzeniami artykułu możemy się zgodzić. Zbyt np. pospieszny i radykalny jest sąd, „że w ruchu umysłowym katolickim, tak żywym i tak twórczym obecnie na Za-

chodzie Europy, myśl polska nie bierze żadnego niemal udziału". Autor artykułu nie zna widocznie polskich neotomistów, ani też dzieł napisanych przez katolickich socjologów w Polsce — nic dziwnego: sfery, które stoją za „Gazetą Warszawską" są bardzo oddalone od katolickiej socjologji i myśli chrześcijańsko-społecznej.

Nie oto jednak nam chodzi. Autor artykułu porusza na końcu pewien fakt mało znany naszej opinji. Czytamy:

„Fakt charakterystyczny, że dr. Rajchman, piastujący z ramienia Polski wysoki i intratny (57.000 franków szwajcarskich rocznie) urząd szefa sekcji higjeny w stałym sekretarjacie Ligi Narodów, wyzyskuje to urzędowe stanowisko dla szerzenia propagandy, sprzecznej z podstawowemi zasadami moralności katolickiej. Zaleca mianowicie, w oficjalnem sprawozdaniu Ligi Narodów, ni mniej ni więcej tylko... t. zw. „świadome macierzyństwo", stosowanie środków przeciwporodowych nietylko ze względów zdrowotnych, ale również „z powodów o charakterze osobistym i ekonomicznym". Przeciw tej urzędowej propagandzie reprezentanta Polski zaprotestowała prasa katolicka francuska, niemiecka, angielska, włoska, z „Osservatore Romano" na czele. Zaprotestował szereg organizacji międzynarodowych katolickich. Na wniosek przedstawiciela Irlandji, popartego przez delegatów Włoch, Belgji, Holandji i Luksemburga, Liga Narodów postanowiła wycofać raport dr. Rajchmana i usunąć zeń zdania, obrażające moralność katolicką. Zaś delegacja Polski w Lidze nietylko nie przyłączyła się do opisanego wyżej protestu państw katolickich, ale czyniła największe (choć bezskuteczne) wysiłki, by po tem wszystkiem dr. Rajchmanowi zapewnić awans na stanowisko jednego z podsekretarzy Ligi.

Trudno o fakt bardziej znamienny. Reprezentant Polski, narodu katolickiego, zaznacza się jako propagator antykatolickich haseł, a katolicy polscy nie potrafią zdobyć się na żadne środki nacisku ze strony opinji, żeby ta paradoksalna sytuacja uległa nareszcie zmianie, zaś katolickie społeczeństwo polskie uzyskało należną mu satysfakcję. Katolicy zagraniczni okazują większą czujność i energję w sprawie, której wygranie dla katolików polskich powinno było stać się poprostu punktem szlachetnej ambicji. A przecież sprawa dr. Rajchmana nie jest jedynem zdarzeniem podobnego rodzaju, jest tylko wyjątkowo jaskrawa..."

Zupełnie słusznie. Sprawa Rajchmana jest tylko jednym ogniwem łańcucha. Faktów tych nie można jednakże rozpatrywać wyłącznie pod kątem widzenia słabości katolików i indolencji katolickiej opinji publicznej. W tem posunięciu jest pewien system. Na naszych placówkach zagranicznych jest zatrudniony nie jeden taki p. Rajchman, który, będąc mile widzianym w obozie rządzącym, mając, jeżeli jest żydem — bogatych i ustosunkowanych współwyznawców, nic sobie nie

robi z uczuć i wierzeń religijnych narodu polskiego. Winę ponoszą przedewszystkiem ci, którzy takich panów robią wysokimi urzędnikami i przedstawicielami Polski zagranicą.

Podobne fakty podwójnej polityki wobec Kościoła i religji katolickiej obserwujemy i w dziedzinie życia wewnętrznego. Spokojnie sobie i bezpiecznie buszuje po Polsce wywrotowa i antyreligijna sekta Mankietników i Badaczy Pisma św. O tej ostatniej — donosi „Dziennik Bydgoski"—napisał niedawno ciekawą książkę sędzia Zygmunt Wolski i ks. Dr. Edward Górski p. t. „Anarchistyczne tendencje Badaczy Pisma Świętego". Czytamy między innemi ciekawe szczegóły:

„Tak zwani „Badacze Pisma Świętego" pochodzą ze Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Założycielem tej sekty był niejaki Russel, który w roku 1908 na zjeździe w Londynie nadał zrzeszeniu Badaczy formę międzynarodowego związku towarzystw oraz instytutów wydawniczych, powołanych do wykładów i badań Pisma św, Główną centralą sekty jest miasto Brooklyn w Stanach Zjednoczonych. Idee rzucone przez Russela pochwycił jego następca Rutherford, który wszedł w stosunki z finansjerą żydowsko-masońską, pozostającą w ścisłym kontakcie i na usługach komunizmu. W roku 1918 Rutherford skazany został za szpiegostwo na 20 lat więzienia. W Polsce a szczególnie w byłej Kongresówce oraz ostatnio również i w naszej dzielnicy nie brak różnych agitatorów, rozjazdowych kaznodziei i prelegentów, którzy podobno zyskują coraz więcej zwolenników. I w Bydgoszczy znajduje się zbór tej sekty, który liczy około 250 osób.

Na podstawie bogatego materjału dowodowego autorzy stwierdzają— uznaną również przez sądy — wysoce szkodliwą i niebezpieczną dla państwa działalność „Badaczy Pisma Świętego". Fanatyzm wyznawców nowej nauki, burzącej wszelkie podstawy prawdziwej religijności, doprowadza często badaczy Biblji na ławę oskarżonych. Bardzo wiele wyroków zapada z racji zgorszenia i bluźnierstw, a nie brak i takich, gdzie z racji szału religijnego staje przed sądem badacz Biblji, oskarżony o zbrodnię zabójstwa. Tak np. przywódca badaczy ze wsi Śmidyń w powiecie kowelskim Juljan Mizowiec zamordował pod wpływem szału religijnego w październiku 1928 r. sześć osób i jedną ciężko ranił

Badacze pod płaszczykiem tłumaczenia Pisma św. przemycają hasła wrogie wszelkiej religji i dążą do wzniecenia w kraju anarchji. Czynią wszystko, ażeby wyrwać z serc ludzkich religję. Wyraźnie zaś akcentują, że nie chodzi im o propagowanie nowego systemu religijnego, czy nowej sekty, ale o zburzenie dotychczasowego porządku społecznego i państwowego. Widzą oni przyszłość ludzkości jedynie w rewolucji, która zgruchocze obecne systemy. Destrukcyjną działalność badaczy, dzieło udowadnia w zupełności. Hasłem więc badaczy to — anarchja i bezład. Zniszczyć olbrzymi aparat kultury chrześcijańskiej przez zepchnięcie mas ludzkości w jedno bagno zepsucia. Obalenie chrześcijaństwa jest zatem najwyższym

ich celem. Dlatego — według badaczy — należy podsycać niezgodę i ferment, ażeby chrześcijanie sami wzajemnie się zwalczali i mordowali".

Dlaczego takie sekty, w sposób oczywisty sprzeciwiające się już nietylko religji, lecz także państwu, naruszające porządek publiczny i moralność — nie są zakazane i rozwiązane Wszak według konstytucji i obowiązujących ustaw państwo posiada uprawnienia, aby ukrócić działalność tak szkodliwą zrzeszeń pseudoreligijnych. Dlaczego więc je toleruje... Oto jeszcze jeden dowód dwutorowości w polityce religijnej obecnych rządów. Rozwiązanie sekty wzmocniłoby Kościół Katolicki....

A projekt ustawy o godzinach w handlu, którego przepisy zostały niedawno opublikowane w prasie. Jest to koncesja zrobiona dla żydów wbrew uczuciom religijnym i interesom handlowym ludności chrześcijańskiej. Cytujemy ocenę tej ustawy z „Pracownika Polskiego":

Z punktu widzenia gospodarczego, bardziej niż wątpliwe jest, czy zamierzona nowela wpłynie korzystnie na polepszenie sytuacji w przemyśle i handlu. Inne państwa europejskie, więcej odczuwające kryzys gospodarczy, aniżeli Polska, jak np. Anglja, Niemcy, nie rozpoczęły walki z kryzysem od wyłomów w świętowaniu niedzieli. W programie walki z kryzysem i bezrobociem święta zostały nienaruszone. Wręcz przeciwnie, na porządku dziennym międzynarodowej konferencji gospodarczej znajduje się wniosek rządu włoskiego o skrócenie tygodnia pracy do 40 godzin t. j. pięciodniowego tygodnia, aby w ten sposób dać możność zatrudnienia większej ilości bezrobotnych.

Z punktu widzenia religijnego i społecznego projekt ustawy zawiera poważne niebezpieczeństwa. Przykazanie Boże wyraźnie nakazuje dzień święty święcić, obowiązkiem każdego katolika jest w dniu tym wysłuchać Mszy św. i powstrzymać się od pracy, niespowodowanej koniecznością życiową.

Projekt noweli, który zezwala pewnej gałęzi handlu na pracę, w czasie od maja do 31 października od godz. 9 do 23 na wszystkie dni tygodnia, a więc w święta i to cały dzień, stawia katolików wobec niebezpieczeństwa niemożności wykonania ich obowiązków religijnych.

Tak samo ma się sprawa ze wszystkiemi sklepami w miejscowościach kuracyjnych, które w dnie świąteczne mogą być otwarte od godz. 9 do 21, oraz wszystkiemi miejscami sprzedaży w obrębie dworców kolejowych. Dla innych gałęzi handlu, jak np. wyrobów tytuniowych, w niedzielę i święta czas sprzedaży wyznacza się od godz. 7 do 10 i od 13 do 19. Jak widać z powyższego, wyłomy w świętowaniu dni świątecznych czyni się dla gałęzi handlu, które nie są związane z koniecznością życiową, a już zniewagą jest dla tradycji chrześcijańskiej zezwalanie na otwarcie sklepów w czasie uroczystych nabożeństw świątecznych w godz. 10—1 pp.

Musimy z całą przykrością i zdziwieniem podkreślić ten fakt — zaznacza Katolicka Agencja Prasowa — *że w sprawie powyższej, tak ważnej dla Kościoła i społeczeństwa katolickiego, czynniki miarodajne nie zechciały się porozumieć i zasięgnąć nawet opinji władz kościelnych. A przecież nowela powyższa wkracza głęboko w życie religijne państwa, którego 90 procent ludności należy do Kościoła chrześcijańskiego.*

Tak to interesy moralne i materjalne ludności katolickiej są brane pod uwagę i szanowane!

Nic dziwnego, że w tych warunkach rozmaici otwarci wrogowie Kościoła, jak schizmatycy, żydzi występują coraz otwarciej i brutalniej, gdyż są przekonani, że ze strony sfer urzędowych nic im za to nie grozi. Podczas niewoli rosyjskiej prawosławie było narzędziem rusyfikacji, Kościół zaś katolicki — jedną z najważniejszych ost i polskości. Wydawałoby się, że z natury rzeczy wskrzeszone z martwych Państwo Polskie winno wziąć w obronę Kościół katolicki przed atakami ze strony prawosławia. Tymczasem patrzemy, jak sobie poczyna, metropolita Djonizy i jego organy prasowe. Powtarzamy za „Polonją katowicką:

Zwracaliśmy już niejednokrotnie uwagę społeczeństwa polskiego na nieprzebierającą w środkach kampanję, jaką prowadzą przeciwko katolicyzmowi w Polsce organy metropolity prawosławnego, Djonizego, „Woskriesnoje cztienje" i „Słowo". Nienawiść do katolicyzmu, jaka przeziera z tych pism, przechodzi wszystko to, co wypisywały przeciwko Kościołowi przed wojną pisma czarnosecinne. Szczególnie nienawistnem nastawieniem do Kościoła katolickiego odznaczają się artykuły, podpisywane pseudonimem „Vox", pod którym kryje się, jak nas informują z kół prawosławnych, sam metropolita Djonizy i sekretarz Synodu, Roszozyski.

Propaganda nienawiści powyższych organów cerkiewnych zwraca się nietylko przeciwko Kościołowi, ale w równej mierze i przeciwko państwu, gdyż u wielu prawosławnych pojęcia „polak" i „katolik" do dziś dnia są nierozłączne, synonimy. Pisma te idą również zagranicę i tam stwarzają fałszywe pojęcia o prześladowaniu religji prawosławnej w Polsce.

Oto co pisze np. „Woskriesnoje cztienje" (№ 40) z racji protestu Ojca św. z powodu prześladowań wiary w Rosji i Meksyku:

„Niestety, w tem wyliczaniu zapomniany jeszcze został kraj, gdzie przy żywem współdziałaniu kleru katolickiego, dla prawosławia stwarza się warunki, nie wiele lepsze od meksykańskich. W kraju tym setki świątyń chrześcijańskich jest zamkniętych, zburzonych, splugawionych, lud prawosławny, jak mówi się w jednej ze skarg, miesi błoto kolanami przed zamkniętemi drzwiami swych świątyń, zmuszony jest w tajemnicy zbierać się na nabożeństwa w szopach albo w prywatnych mieszkaniach, prawosławni zaś kapłani karani są aresztami za urządzanie nabożeństw prawosławnych.

Kraj ten jest bliżej i więcej znany Rzymowi, aniżeli daleki Meksyk i komunistyczna, bezbożna Rosja..."

Oto nagroda dla naszych władz państwowych za podźwignięcie cerkwi z upadku, za organizację hierarchji, za autokefalję, za budowę nowych cerkwi, seminarjów i internatów, za uposażenie i liczne dotacje dla hierarchji prawosławnej, za przygotowanie kosztem państwa soboru Cerkwi, a co najważniejsze za pomoc w zatrzymywaniu w rękach władz cerkiewnych zgórą półtora tysiąca kościołów i objektów katolickich, skonfiskowanych Kościołowi katolickiemu przez rządy carskie za udział duchowieństwa polskiego w powstaniach i w akcji patrjotycznej!

Wystąpienie organu metropolity, pomawiające Polskę o prześladowanie prawosławia na modłę meksykańską, przypomina nam słynny list metropolity Djonizego do metropolitów prawosławnych, w którym porównywa położenie Cerkwi w Polsce do rzeźni niewiniątek betleemskich.

Metropolita Djonizy szkaluje Kościół katolicki, szkaluje Państwo polskie, któremu tyle zawdzięcza, zapominając w tem wszystkiem o podstawowych zasadach miłości Chrystusowej.

Czy nie znalazłby się sposób na to, aby delikatnie, lecz stanowczo przekonać metropolitę i jego sekretarza, że chociaż w Polsce istnieje swoboda wyznaniowa, to jednakże nie wolno jej identyfikować z szerzeniem nienawiści religijnej i ze szkalowaniem państwa. Mamy wrażenie, że nie potrzebabyłoby tutaj wielu argumentów. Ot poprostu możnaby wskazać metropolicie na stosunki panujące w Rosji w stosunku do cerkwi prawosławnej i zaproponować mu, aby je porównał z polskimi oraz podkreślić, że rząd polski sobie takich wystąpień nie życzy...

Niestety, p. minister Jędrzejewicz tak jest zajęty reformą szkolnictwa, że widocznie nie ma już czasu na takie sprawy.

Innego rodzaju jest wystąpienie „Naszego Przeglądu", który w dniu 14 listopada, w wielkim 4 szpaltowym artykule omawia „proces sądowy Jezusa Chrystusa" (tak!) Jest to znowu dowód oczywisty arogancji i bezczelności oraz braku jakiegokolwiek respektu wobec uczuć religijnych narodu polskiego.

Autor artykułu Dr. med. Henryk Higier należy do tych ciekawych osobników z pośród inteligencji żydowskiej, którzy, będąc lekarzami, zajmują się równocześnie kwestjami prawnemi. W artykule tym stara się zasłużyć na opinję objektywnego nuukowca, używa stale nomenklatury prawniczej np. pisze o aresztowaniu „Chrystusa Pana za rozruchy mesjanistyczne", o „zeznaniu apostała Piotra" o „justyfikacji" Synhedrjonu i t. d. Poglądy jego nie są zresztą oryginalne, lecz

oparte na artykule zamieszczonym w „Miesięczniku Żydowskim" przez D. Matza. Najpoważniejsza część rozumowania jest następująca:

„Czy Jezusa z Galilei, żyda pełnowartościowego, należącego do sekty essejczyków, której się nigdy nie śniło o stworzeniu nowej religji, skazano rzeczywiście za bluźnierstwo?

Gdyby — dodaje Matz — Synhedrjon wyrok śmierci za bluźnierstwo sugestjonował Rzymowi lub istotnie samoistnie wydał na obywatela z Galilei, na mesjasza lub pseudomesjasza, toby się znalazł niewątpliwie jakiś ślad, jakaś wzmianka o tej głośnej justyfikacji w licznych ówczesnych i późniejszych dziełach historycznych, dziełach rzymskich Tacyta i wielotomowych grecko-żydowskich Filona, Józefa Flawjusza, w apokryfach, apokalipsach, w księgach Talmudu jerozolimskiego i babilońskiego, w powodzi komentarzy do nich, gdzie tyle historycznie ciekawego materjału i wartościowych przyczynków do Palestyny ówczesnej zbierano i magazynowano.

Podkreślić w tem miejscu wypada, że ów Trybunał Najwyższy żydów, który miał orzec o karze śmierci, składał się z 70-ciu członków, a wyrok musiał być absolutnie jednomyślny, jeden głos przychylny oznaczał uniewinnienie. Wyroki, skazujące na śmierć, zapadały tam, jak kroniki głoszą, raz na kilkaset lat, tak iż Talmud aprobuje w zupełności poczucie prawne ludu żydowskiego, nazywającego sąd, który kogokolwiek na śmierć zasądził, „Sądem morderców..."

Dalej autor opisuje stosunki polityczne i religijno-obyczajowe, panujące wówczas w Judei i uważa je bałamutnie za dowód, że w warunkach takiego rozkładu religijnego i upadku — proces o bluźnierstwa nie mógł nastąpić, zapominając widocznie, że największy fanatyzm panuje właśnie w okresie upadku prawdziwej religijności. Konkluzja jest następująca:

Był to więc proces prawdopodobnie nie religijny, tylko czysto polityczny a wyrok kondemnacyjny wynikał poniekąd z nadmiaru uczucia ze strony adherentów Jezusa, ze strony tych fanatyków, entuzjastów i pionierów, co głośno szerzyli wśród ludu mocno suggestywny tytuł: „Jezus Nazarenus, Rex Judaeorum" (Jezus z Nazarei, król Żydowski).

Tu wkroczyła już najwyższa władza administracyjna! Tylko imperator bowiem mógł mianować królów, książąt i namiestników. Skoro Jezus ogłosił się sam lub został ogłoszony królem żydowskim, wkraczając w atrybucje suwerennego cesarza, to dopuścił się zbrodni ciężkiej, zdrady wobec panującego, i tylko za to jako buntownika politycznego zasądził Go sąd rzymski na śmierć i wykonał srogi wyrok ukrzyżowania zgodnie z ustawami rzymskiemi. (XV. 2. I pytał go Pilatus: Ty żeś jest król żydowski?). Tej laesio majaestatis nie mógł zasadniczo sądzić żaden hebrajczyk z kodeksem żydowskim lub Biblją w ręku, lecz wyłącznie rdzenny rzymianin czystej krwi według ustawodawstwa rzymskiego, obowiązującego w całem imperjum.

Jaki zaś cel tego bałamutnego, a miejscami bezczelnego i bluźnierczego steku nonsensów? Oto pisze Dr. Higier na początku artykułu:

Wszak przez długie setki lat wielkie mocarstwa, liczni panujący, świeccy i duchowni, nie wpuszczali do swoich państw (Hiszpanja, Rzym, Rosja) żydów jedynie ze względów czysto religijnych, żydów, jako morderców Zbawiciela Chrystusa.

Niejednokrotnie były próby i usiłowania obalenia legendy o Sądzie Żydowskim nad Jezusem.

Niestety, usiłowania daremne. Istnieją niezbite dowody, stwierdzające, że słowa kapłanów żydowskich wyrzeczone do Piłata: „Krew Jego na nas i na syny nasze!" są nietylko zwrotem retorycznym, lecz prawdą dziejową. I nie ujdzie Izrael konsekwencyj tego faktu, choćby nie wiem z jaką energją usiłował uniknąć wymiaru sprawiedliwości za przelaną przed wiekami Przenajświętszą Krew Syna Człowieczego.

Państwo zaś ze swojej strony nie powinno zezwalać na tego rodzaju artykuły, stojące na pograniczu między mistyfikacją pseudonaukową a bluźnierstwem. To wykracza poza ramy wolności prasy i obraża olbrzymią część społeczeństwa, myślącego kategorjami katolickiemi!

* * *

Nie można powiedzieć, aby w naszym kraju trwało otwarte prześladowanie Kościoła. Istnieje wolność religijna. Pozory zewnętrzne dobrych stosunków z Kościołem są zachowane.

Wykazywaliśmy natomiast nieraz w tem miejscu, że polityka rządów sanacyjnych w tej dziedzinie jest dwutorowa i przytoczyliśmy przykłady tej dwutorowości. Wszak ustawy wykonywują ludzie, a znaczna część jednostek stojących na czele urzędów i administracji, to osoby bardzo mało mające wspólnego z katolicyzmem, albo też wprost niechętne i wrogie Kościołowi.

Pozatem ewolucja zdąża w kierunku ujemnym, jeżeli chodzi o nastroje i poglądy grup, znajdujących się u steru. Ludzie są śmiertelni... Przy pewnych zmianach personalnych może dojść do kulturkampfu... Jak wielką radość wywołałoby to u metropolity Dyonizego, Dr. Higiera i wielu innych...

Jak ten kulturkampf wygląda w Meksyku i w Hiszpanji—

przytoczymy kilka charakterystycznych szczegółów za „Nowym Kurjerem".

Organ papieski „Osservatore Romano", omawiając encyklikę papieską, zaznacza, że bohaterstwo kapłanów meksykańskich i krew męczenników, poległych tam za wiarę, są strasznem oskarżeniem nowoczesnej cywilizacji, która zaparła się swych własnych ideałów, są potępieniem i hańbą dla prasy, która dla mało znaczących wypadków i skandalików ma miejsca dużo, ale gdy chodzi o przedstawienie prawdy w Meksyku czy Hiszpanji, prasa ta milczy jak zaklęta. Jedynie Stolica Apostolska jest rzecznikiem wolności ludów. Papiestwo ujmowało się zawsze za pokrzywdzonymi. Tak było dawniej, gdy Papieże Grzegorz XVI i Pius IX napiętnowali rządy carskie za ucisk Polaków, tak jest obecnie, gdy Pius XI podnosi uroczysty głos protestu przeciwko barbarzyństwu meksykańskich katów.

Popatrzmy więc, jak w tym Meksyku rzeczy stoją. Rząd meksykański nie spełnił ani jednego warunku, co do rozejmu w r. 1929. Biskupi są na wygnaniu, kościoły zamknięte. Wszelkie formy nauczania religji, nawet prywatne są zakazane. Liczba kapłanów do obsługi wiernych jest przez rząd niesłychanie ograniczona. W stanie Michoacon może być 1 kapłan na 30.000 wiernych, w Stanie Chihuahua 1 kapłan na 45.000 wiernych, w Chiapas jeden na 60.000 i w Vera Cruz jeden na 100.000 wiernych! I to się nazywa wolnością przekonań i wolnością sumienia!

Encyklika papieska wywołała w meksykańskich kolach rządowych wybuchy wściekłości. Nic nie pomogło milczenie prasy masońsko-żydowskiej, świat się dowiedział z dokumentu papieskiego o nieslychanem barbarzyństwie rządu meksykańskiego. To też prezydent meksykański, Rodriguez, wystąpił z pogróżkami, obiecując wszystkie kościoły i szkoly katolickie zamienić na fabryki i kluby robotnicze—słowem, tak, jak w bolszewickiej Rosji.

I to wszystko może się dziać w osławionym XX wieku, wieku postępu i wysokiej cywilizacji!

W Hiszpanji po nieudałym zamachu stanu gen. San Jurjo rząd republikański wywarł całą zemstę na... katolikach, chociaż osławionego generała z obozem katolickim nic nie łączyło. Posypały się zatem represje. Zawieszono 67 dzienników i 100 tygodników katolickich. Na prowincji burmistrzowie miast i gubernatorowie prowincji wysługują się rządowi gorliwością w gnębieniu wiary. Pousuwano więc ze szkół i szpitali krzyże, procesje religijne i kondukty pogrzebowe uważają za... demonstracje polityczne! w niektórych miejscowościach zakazano nawet dzwonić w kościołach. Zakaz nauczania religji w szkołach, przymusowe śluby cywilne, oczywiście z rozwodami, są owocami „nowego prawodawstwa". Niektórzy kacykowie prowincjonalni urządzają polowania na ozdoby i biżuterję, noszącą cechy religijne; zakazują nosić na szyi krzyżyki lub medaliki; nieposłusznych karzą grzywnami i aresztem.

Taki gubernator Walencji skazał dwie kobiety na karę 25 pesetów grzywny za to, iż w swem mieszkaniu odprawiały nowenną do św. Antoniego.

Okazuje się, że nawet republika liberalna potrafi się zdo-

być na posunięcia iście dyktatorskie, gdy chodzi o walkę z Chrystyjanizmem.

Idea Chrystusowa ma tę charakterystyczną właściwość, że w każdym wieku, w każdym kraju znajdzie zaciętych i nieludzkich przeciwników — dopóki tylko piekło wojować będzie przeciwko Niebu — dopóty znajdą się zawsze i wszędzie wrogowie Chrystusa.

Z drugiej jednak strony idea to niespożyta, oparta na Boskich pierwiastkach. Rośnie ona w siłę i moc, tak jak ten mistyczny olbrzym rzucony o ziemię. Oto smuci nas i męczy prześladowanie w Meksyku i Hiszpanji, niepokoją inne kraje. A tu statystyka donosi nam, że:

Na okres panowania obecnego Papieża Piusa XI przypada imponująca liczba nawróceń. Stosownie do danych statystycznych, przedstawionych na kongresie misyjnym w Padwie, ogółem nawróciło się przez te 10 lat 6 miljonów osób. Podczas tego samego okresu ilość księży-misjonarzy, pochodzenia tubylczego w kolonjach całego świata, wzrosła z 2.670 do 5.000. Utworzono 20 nowych okręgów misyjnych. Przeszło 1.600 kandydatów na kapłanów studjuje w seminarjach kolonjalnych. Naogół przybyło za ten czas 4.000 misjonarzy.

Jak dalece Ojciec św. przejmuje się sprawą misyj, najlepiej wykazuje opowiadanie arcybiskupa Salottiego, sekretarza Kongregacji dla Propagandy Wiary; który pewnego dnia zastał Papieża we łzach nad jakimś listem. Okazało sie, że list pochodził od pewnego misjonarza, przebywającego od przeszło 71 lat w Chinach. Misjonarz błagał w swym liście Ojca św. o 200.000 lirów, jako niezbędne dla akcji misyjnej. Mgr. Salotti zaproponował Papieżowi, że odpisze staremu misjonarzowi. Papież jednakże nie zgodził się na to, twierdząc, że staruszek może tymczasem umrzeć i wreszcie stanęło na tem, że Ojciec św. posłał natychmiast potrzebną sumę 200.000 lirów.

Równocześnie wzrasta i rozwija się w rozmaitych krajach katolickich, a nawet w większości protestanckich — Akcja katolicka i działalność organizacyj chrześcijańsko-społecznych. Powoli i stopniowo, ale pewnie i systematycznie wiedza i idea katolicka urabia sobie nowych zwolenników i wyznawców, nietylko w krajach pogańskich, lecz także i chrześcijańskich, w których panowała dotychczas obojętność i oziębłość. Coraz szersze zastępy młodego pokolenia garną się pod sztandar Chrystyjanizmu i zaciągają się do armji Chrystusowej, która toczy wielki bój o przyszłość kultury i cywilizacji, o postęp prawdziwy świata.

S. J. K.

DZIAŁ LITERACKO-OPISOWY.

Goethe a starożytność.

Współcześni nazywali Goethego „Jowiszem Weimarskim", i słusznie; ten niezwykły człowiek był bowiem skrojony na miarę Fidjaszową: umysł szeroki, obejmujący całokształt wiedzy ludzkiej, interesujący się wszystkiem, od cedru na Libanie do niskiego hizopu, — od najgłębszych zagadnień metafizyki („*Faust*"), do nauki o barwach („*Farbenlehre*"). Odkrył on w botanice nieznane dotąd prawo (Goethegesetz) i napisał „*Werthera*". Był największym niemieckim romantykiem („*Götz von Berlichingen*" — „*Werther*" — „*Egmont*" — „*Faust cz. I-a*), a jednocześnie największym niemieckim klasykiem („*Ifigenja*"— „*Herman i Dorota*" — „*Torquato Tasso*" — „*Faust cz. II-a*"). Podobny on jest do tych uniwersalnych ludzi włoskiego Cinquecenta, którzy nas zdumiewają swą genjalną wszechstronnością; i tu się mimowoli nasuwa jedno imię wspaniałe: Leonarda da Vinci, który ma wiele styczności z Goethem: obaj są przepysznemi i rzadkiemi okazami najbujniej rozwiniętego, dostojnego człowieczeństwa: „Ein Meisterstück der Natur, vie es ihr nur selten gehungen ist",—powiedział Wieland o Goethem.

Ponieważ takiego olbrzyma skromnym artykulikiem objąć nie sposób, rzucimy na niego ciekawe spójrzenie pod pewnym tylko kątem widzenia, a mianowicie zastanowimy się nad stosunkiem Goethego do antyku.

Już w dziecinnych latach zetknął się Goethe z tym zaczarowanym światem klasycznej starożytności. Ojciec jego, poważny i uroczysty pan Radca Cesarski Jan Kaspar Goethe, podróżował zamłodu do Włoch, i przywiózł stamtąd cały zbiór cennych bronzów, marmurów, planów i sztychów, które dziś jeszcze widzieć można w sieni Goethehaus'u, w Frankfurcie nad Menem. Wszystkie te cuda przykuwały oczy małego Wolfganga i ryły się w jego pamięci. Sam mówi, że gdy później, już będąc mężem dojrzałym, przybył do Rzymu, poznawła z łatwością wszystkie pomniki i ruiny Wiecznego Miasta, i witał w nich starych znajomych. Wprawdzie Rzym w 1786 roku inaczej wyglądał niż dziś: na Forum Romanum pasły się sreb-

rzyste, długorogie kampańskie woły, a z bujnej trawy gdzieniegdzie tylko wynurzały się głowice zasypanych po szyję kolumn. Bo też to miejsce dostojne, słynne w historji świata, to serce Imperium Romanum, zapomniane i senne, nosiło wówczas charakterystyczną nazwę „pola krowiego" — *Campo vaccino.*

Goethe spędził we Włoszech, a głównie w Rzymie, prawie dwa lata, niezmiernie ważne w dziejach jego rozwoju wewnętrznego, dwa lata pełne i owocne, które jego talent pchnęły na całkiem nowe tory.

Głębokie wrażenie zrobiła na nim plastyka grecka, z którą się spotkał, można powiedzieć, po raz pierwszy w życiu. Dotychczas znał on tylko odlewy gipsowe; marmur zachwycił go: „Czar marmuru, — pisze w *„Italienische Reise"* — polega na półprzezroczystości żółtawego kamienia, który tak bardzo się zbliża do barwy ciała ludzkiego. Jakże martwy, zimny i kredowo-blady jest przy nim odlew gipsowy!... jak trup przy żywej istocie". (Mowa tu naturalnie o starożytnych marmurach, ozłoconych 2000 letniemi promieniami południowego słońca!) Goethe kupił sobie mimo to odlew Junony Ludovisi Praksytelesa i wspaniałą głowę Jowisza z Otricoli.[1]) O Junonie pisze do pani von Stein: „To pierwsza moja miłość w Rzymie; żadne słowo nie da o niej pojęcia; działa ona na mnie jak pieśń Homera". — Popiersie zaś Gromowłodnego umieścił naprzeciw swego łóżka, w odpowiedniem oświetleniu, t. j. tak, aby pierwsze jego spojrzenie przy przebudzeniu spotkało się z arcydziełem Fidjasza. Poczciwa gospodyni Goethego była przekonana, że to wizerunek Boga Ojca, i wchodząc do pokoju poety, aby go sprzątać, żegnała się przed nim pobożnie.[2])

---

[1]) Przypuszczalnie kopja Fidjaszowego Zeusa Olimpijskiego.

[2]) Raz ulubiona jej kotka wśliznęła się za nią do pokoju Goethego, on zaś siedział w sąsiedniej komnacie, pisaniem zajęty. Nagle otwierają się drzwi i staruszka w wielkiej alteracji woła swego lokatora, aby prędko przyszedł oglądać cud! — Co się stało? — pyta Goethe. — „Kotka cześć oddaje Bogu Ojcu (*betet Gottvater an*). Oddawna wiedziałam, że to zwierzę ma rozum jak chrześcijanin"... Goethe wszedł do swej sypialni, i zastał kotkę, która wskoczywszy na stół, położyła łapki na piersiach Zeusa, a wyciągnąwszy swe członki jak struna, dosięgła jego pięknej olimpijskiej brody i lizała ją z wielkiem nabożeństwem.

Tu w Rzymie zabrał się też Goethe do Sofoklesa, i ten dostojny, pogodny Grek dziwnie mu przypadł do serca; bo też niejedno podobieństwo znachodzi pomiędzy poetą z Weimaru a wieszczem z Kolony; o obu można powiedzieć, co L. Rydel napisał o twórcy „*Antygony*": „Wieki miną zanim się znów kiedy może urodzi drugi taki bogów umiłowaniec, piękny i zdrowy na ciele, w sercu dobry i szlachetny, a mądry i natchniony w duchu, istne arcydzieło człowieczeństwa".[3])

Ten więc Sofokles, druh Goethego po lutni, stał mu się teraz „tak bliskim i drogim, jak przedtem Szekspir".

Podróż do Włoch oznacza ważny przełom w życiu i w twórczości Goethego. Jako uosobienie epoki burzy i wrzenia (Sturm und Drangperiode) wybrał się młody Goethe za Alpy; jako skończony, zrównoważony, klasyczny poeta opuścił „kraj, gdzie cytryna dojrzewa". Tu opracował ostatecznie — nie mówiąc o licznych drobniejszych utworach — dwa dzieła już dawniej zaczęte: „*Torquato Tasso*" i „*Egmont*"; tu przyodział w cudną szatę wierszową swoją „*Ifigenję*", już gotową w prozaicznej formie, a nawet graną w Weimarze na dworskim teatrze amatorskim, z Goethem w roli Oresta. Z wycieczki na Sycylję mamy pomysł i początek utworu mniej znanego p. t. „*Nausica*"; upojony pięknością tej klasycznej ziemi, błękitem morza Tyreńskiego i lazurem palermitańskiego nieba, kupił sobie Goethe naprędce Homera, i siedząc w ogrodzie czarownej willi Giulia, odtworzył VII-ą pieśń Odyssei, opowiadającą pobyt Ulissesa u Feaków, — i nakreślił plan przyszłego dramatu.

Jego „*Elegje rzymskie*" mają heksametryczno-pentometryczną formę klasyczną, a duch, co je ożywia, jest starohelleński, a nie germański; pogański a nie chrzescijański. Mógłby je podpisać Katullus lub Tibullus, a może i Tropercjusz.

Goethe czuł, po dwóch latach pobytu w słonecznej Italji, że czas powracać do Weimaru, gdzie przyszłego ministra czekały liczne i różnorodne obowiązki. Zacny książe Karol-August zgodził się był na ten długi urlop, ale Goethe nie mógł dłużej cierpliwości jego nadużywać. Zatem pod koniec

---

[3]) L. Rydel: „Pejsydoros i Ferenike".

1788 roku wybrał się z powrotem do swej północnej ojczyzny. W przeddzień wyjazdu postanowił pożegnać się uroczyście z Wiecznem Miastem: „Noc była — pisze — księżyc w pełni oświecał ciche ulice srebrną poświatą; przeszedłem samotnie, poraz ostatni, długie, opustoszałe Corso i wszedłem na Kapitol, który stał jak pałac zaczarowany na bezludnej pustyni. Posąg konny Marka Aureljusza przywołał mi na pamięć posąg Komandora z „Don Juana"... Zstąpiłem na puste Forum; łuk Septyma Sewera otwierał przedemną swą ciemną czeluść i rzucał czarny cień na skąpane w księżycu otoczenie; w samotności nocy zwaliska tak dobrze mi znane wzdłuż Via Sacra przybierały jakieś upiorne kształty, a gdy zbliżając się do Colosseum zajrzałem do wnętrza przez puste arkady, przyznam się, że mimowoli przebiegł po mnie dreszcz, i przyśpieszyłem kroku do powrotu..."

Dalej opowiada, że w tej nocnej wędrówce przez cmentarzysko historyczne Rzymu przyszła mu na myśl elegja Owidjusza „Ostatnia noc w Rzymie" [5]), którą z pacholęcych lat umiał na pamięć; wszak starożytny poeta w taką samą noc księżycową musiał opuszczać gród Romulusa, wygnany niełaską cesarską na barbarzyńskie wybrzeża Scytów. „*Cum repeto noctem*", powtarzał Goethe za Neronem, powracając zwolna do domu:

Cum repeto noctem, qua tot mihi cara reliqui,
Labitur ex oculis nunc quoque gutta meis.

* * *

Przez kilka lat po powrocie swoim z Włoch, Goethe nie pisał wiele. Zdawało się, że jest bezpowrotnie stracony dla poezji. Lecz w 1796 r. poznał Schillera, i w zetknięciu z płomienną duszą twórcy „Zbójców" i „Don Carlosa" obudziła się w nim nanowo iskra poetycka i geniusz jego zajaśniał w całej pełni. Najprzód obaj przyjaciele zaczęli wydawać swoje „*Xenie*", dystychy satyryczne, których tytuł wzorowany jest na rzymskim epigrematyku Martialisie; smagają w nich biczem ostrej, dowcipnej krytyki pisarzy współczesnych i ich utwory. Schiller przyrównywa gdzieś owe „*Xenie*" do „lisów

[5]) Trist. I. 3.

Samsona, które pochodniami uwiązanemi u ogona miały podpalać papierowe żniwo ówczesnych Filistynów".

Po „*Xenienjahr*" (1796) nastąpił „*Balladenjahr*" (1797), rok najpłodniejszy w arcydzieła w historji literatury niemieckiej. Wtedy to powstał między innymi poemat Goethego „*Herman i Dorota*", najpopularniejsze z jego dzieł, podzielone na 9 pieśni, z których każda,—na wzór Herodota,—nosi w nagłówku imię jednej z 9-ciu Muz. Zbyt ono jest znane, aby się tu nad niem rozwodzić; wystarczy powiedzieć (co jest głównym celem niniejszej pracy), że tu może najwyraźniej znać wpływ antyku na Goethego, oraz rodzaj tego wpływu: nie jest to bowiem bezduszne naśladownictwo, jak u współczesnych mu pseudo-klasyków francuskich, lecz bujnem życiem tętniący utwór o treści rodzimej, jak trafnie powiedział Schiller: „słońcem Homera oświetlony".[6])

Goethe napisał do „Hermana i Doroty", opuszczoną zwykle w wydaniach szkolnych przedmowę, elegijnemi dystychami. Warto przytoczyć tu początkowe jej wiersze, gdyż rzucają jasne światło na zajmujące nas tu zagadnienie:

Also das wäre Werbrechen, dass einst Properz mich [begeistert,
Dass Martial sich zu mir auch, der verwegne gesellt?
Dass ich die Alten nicht hinter mir liess, die Schule zu hüten,
Dass sie nach Latium gern mir in das Leben gefolgt? [7])

Dalej wspomina o modnej podówczas teorji Wolfa, który w swych „*Prolegomena ad Homerum*" (1794) dowodzi, że Homer to imię zbiorowe, że Iljada i Odyssea nie są dziełami jednego, lecz wielu twórców, i że całe pokolenia helleńskie złożyły się na wydanie tych nieśmiertelnych poematów. Dziś hipoteza Wolfa jest przestarzałą i teorja jego upadła; lecz Goethe wzywa żartobliwie czytelników, aby pili zdrowie tego wielkiego męża „co nas od Homera uwolnił". Bo gdyby jego utwory były dziełem jednego genjalnego poety, niktby nie

---

[6]) „Und die Sonne Homers, siehe sie leuchtet auch uns". („Der Spaziergang"):

[7]) „A więc to zbrodnia, że mnie niegdyś Propercjusz czarował (aluzja do wyżej wymienionych „Elegij rzymskich), że zuchwały Martialis był mi towarzyszem? (aluzja do „Xenij"), że nie zostawiłem za sobą Starożytnych, aby pilnowali szkoły, lecz wziąłem ich chętnie ze soba w życie?"

śmiał z nim się mierzyć; lecz idąc za hipotezą Wolfa, i on — Goethe — pokusi się być Homerydą, chociażby ostatnim.[8])

Pomijamy mniejsze utwory Goethego, tchnące reminiscencjami klasycznemi, jak tytaniczno-zuchwały „*Monolog Prometeusza*" (urywek nigdy nie dokończonego dramatu), „*Elysium*", „*Gaugmed*", „Do konika polnego". („*An die Cicade*", nach Anakreon) i t. p., i zdążamy do II-ej części „*Fausta*", gdzie więcej niż gdziekolwiek uwidocznia się przemożny wpływ antyku. Aby nie zaciężyć czytelnikom, nie obeznanym z niejasną, pełną zawiłych alegoryj II-ą częścią „*Fausta*" (mało u nas znaną, podczas gdy pierwszą spopularyzowała opera Gounod'a), — ograniczymy się do kilku uwag.

Goethe czuł się osamotnionym w Weimarze po powrocie z Włoch, gdzie duch jego rozwinął się i rozszerzył w zetknięciu ze starożytnością klasyczną; w Niemczech zaś zastał dawnych przyjaciół i znajomych, a przedewszystkiem publiczność na tymsamym poziomie co 2 lata temu. Nie dziw, że zamknął się w sobie, tęskniąc za ideałem antycznym, którego piękno było mu się objawiło tam, pod włoskiem niebem. — To wszystko odzwierciedla się w II-ej części „*Fausta*": Mefistofeles wprowadza swego pupila na dwór cesarski; tam, na żądanie władcy, Faust wywołuje sztuką magiczną widmo pięknej Heleny, i tak się w niej rozmiłowuje, że stara się ją pochwycić; ale ona znika. Faust podąża za nią do Grecji, ojczyzny klasycznego piękna, którego Helena jest uosobieniem. Tu następuje ciekawa scena na polach Farsalskich, gdzie niegdyś Pompejusz został pokonany przez Cezara: jest to „*die klassische Walpurgisnacht*", przeciwstawienie do podobnej sceny w I-ej części „*Fausta*", gdzie występowały twory północnej fantazji germańskiej. Tu, w Grecji, czarownice harcujące na miotle, sowy, puhacze i błędne ogniki zastąpione są przez postacie mitologiczne, które symbolizują stopniowy rozwój myśli helleńskiej: ta bowiem stała pierwotnie pod wpływem Wschodu, co się wyraża przez gryfa, zwierzem bajecznym, złożonym z orła

---

[8]) Exrst die Gesundheit des Mannes, der endlich vom Namen Homeros Kühn uns befreiend, uns auch ruft in die vollare Bahn.

Denn wer wagte mit Göttern den Kampf? und wer mit Dem einen? Doch Homeride zu sein, auch nur als letzter ist schön.

i lwa, bez żadnej przymieszki człowieczeństwa; potem następuje sfinks, z popiersiem ludzkiem a ciałem zwierzęcem; dalsze fazy rozwoju oznaczają centaur i syreny; wreszcie już całkiem ludzkie kształty mają Nimfy Penaiosu i bóg rzeczny, w których ewolucja form dosięgła nareszcie kresu. Z pomocą centaura Chirona, który opowiada Faustowi, jak to niegdyś 10-cio letnią Helenę niósł na swoim grzbiecie, — zstępuje Faust do podziemia, i zdobywa z pomocą Perzefony rękę pięknej Heleny.

Akt III-ci był pierwotnie samoistnym utworem i wyszedł osobno w 1827 r., p. t. „Helena, fantasmagorja klasyczno-romantyczna", ze staro-greckiemi chórami; pisana jest czysto-greckim trymestrem jambicznym:

„Bewundert viel und viel gescholten Helena"...

Tu, na klasycznej ziemi Arkadji, Faust poślubia Helenę, co symbolizuje związek antyku z germańskim romantyzmem; z niego się rodzi poezja nowożytna w osobie Euforjana, skrzydlatego syna Fausta i Heleny, któremu Goethe dał rysy Byrona. Pisał on bowiem tę część swego dzieła w 1824 roku, t. j. podczas walk Grecji o niepodległość, i wplótł w nie tę apoteozę bohatera z Missolonghi. Wreszcie Euforjon ginie, a za nim Helena podąża do Orku, pozostawiając Faustowi przy pożegnaniu swą zasłonę: to oznacza, że germańska poezja dziedziczy po antyku klasyczną jego formę.

Lecz na tem nie koniec. W akcie IV-tym Faust powraca do swej północnej ojczyzny, na dwór cesarski, i tu się oddaje działalności cywilizacyjnej; cesarz w nagrodę obdarza go ziemią, na której Faust buduje sobie wspaniałą rezydencję, otoczoną czarownemi ogrodami. Lecz zawsze brakuje mu czegoś do pełnego szczęścia; teraz n. p. uboga chatka dwojga staruszków, Filemona i Baucydy, zawadza mu, psując perspektywę parku[9]); a ponieważ sprzedać ojcowizny nie chcą, choć im Faust lepsze grunia za to obiecuje, Mefistofeles radzi mu poprostu wywłaszczenie. Faust się ociąga przed tym zbyt radykalnym środkiem, ale zawsze usłużny szatan podpala niską strzechę, i staruszkowie giną razem z nią w płomieniach.

Ta reminiscencja z Owidjusza (Metamorphosen VIII, 618)

---

[9]) Tu się mimowoli przypomina młynarz z Sans-Sonci i Fryderyk II.

ma znów allegoryczne znaczenie: Filemon i Baucyda, to żywioł konserwatywny w społeczeństwie, który fakta osądza uczuciem i uporczywie trzyma się dawnego, nie dając się przekonać logice wypadków. Przeszłość, skazana na zniszczenie, zawsze taka piękna najwdzięczniejsze wspomnienia młodości są z nią nierozerwalnie związane, — a to nowe, co chce zająć miejsce starego, takie nieznane i niepewne! Zuchwały nowator, który chce to wszystko obalić, zawsze będzie przez Filemonów i Baucydy uważany za wroga, — a tymczasem nieubłagany czas wymaga tych przewrotów, zachowując sobie prawo wykazania, czy były one potrzebne, czy nie, a zwłaszcza czy przyniosły ludzkości prawdziwy postęp i prawdziwą kulturą, — czy też cofnęły ją wstecz?

Znamiennem jest, że mimo swego kultu dla postępu w najrozmaitszych formach, wielki Goethe czyni z bezprawia, którego ofiarami padli Owidjuszowi staruszkowie, — początek końca Fausta: blisko 100-letni starzec widzi z tarasu swego pałacu, jak smugi szarego dymu powstają z dymiących zgliszcz ubogiej chatki i snują się nakształt fantastycznych widm: są to Brak, Nędza, Wina i Troska; suną one cicho ku bogatej siedzibie Fausta, który przerażony na ich widok, zamyka się w swym pałacu. Trzy pierwsze zatrzymują się na progu bogacza, nie śmiejąc wejść; lecz ostatnia wciska się dziurką od klucza.

Rozmowa Troski z Faustem jest głęboko filozoficzna; przy ostatnich słowach, widmo tchnęło na oczy dumnego starca, który zaniewidział. Niebawem też Faust umiera, a starożytne Lemury, (upiory które, wedle wyobrażeń antycznych, przynosiły ludziom chorobę lub śmierć), kopią mu grób.

Nie wdajemy się tu w szczegóły zakończenia „*Fausta*", zbyt wiele byłoby do powiedzenia, a to nie należy do tematu, któryśmy sobie ściśle zakreślili. Ale co tu — choć z konieczności dość pobieżnie — zostało podane, wystarczy jednak, aby udowodnić, jak bardzo Goethe był zależny od antyku, jak go kochał, rozumiał, i jak umiał przenieść go z ławy szkolnej w życie:

„Dass ich die Alten nicht hinter mir liess, die Schule zu hüten,

Dass sie nach Latium gern mir in das Leben gefolgt".

S. M. R.

Jak umierał Wyspiański *).

28. XI. 1907 — 28. XI. 1932.

Dnia 28 listopada mija ćwierć wieku, kiedy zgasła żrenica wielkiego Mistrza krakowskiego, co „serce miał rycerza i moc bohatera, a był rapsodem narodu".

W słotny dzień jesienny, w wigilję rocznicy Nocy Listopadowej, przytuliła Go do siebie Biała pani, której przez lat kilkanaście patrzał w oczy.

Dawno nosił Wyspiański w sobie żądło choroby, długo cierpiał i ciężko, widząc coraz bardziej postępującą niemoc. Na dwa lata przed śmiercią, w roku 1905 cierpienie wybuchło gwałtownie i tylko niezwykle silny i odporny organizm poety nie dopuścił wowczas do katastrofy. A nawet nastąpiło pewne polepszenie do tego stopnia, że Wyspiański z pełną energją kontynuuje przerwane prace poetyckie. Dyktuje nieodstępnej towarzyszce, ciotce Joannie Stankiewiczowej przekład „Cyda", fragmenty „Zygmunta Augusta", oraz nagli do wydania „Sędziów".

Tymczasem dzięki nadzwyczaj czułej troskliwości ciotki nastąpiło z początkiem roku 1907 takie polepszenie, że Wyspiański mógł wyjechać na niedawno nabyty swój majątek we Węgrzcach, by tam w spokoju i zaciszu pod okiem dobrej ciotki dalej się leczyć, boć przykra choroba dużo wymagała zabiegów i starań, których skrupulatnie należało przestrzegać. Tutaj we Węgrzcach odwiedza chorego jego przyjaciel, Wilhelm Feldman, któremu Wyspiański żali się, iż bardziej od choroby gnębi go niemożność malowania. Boć chora ręka nie pozwala mu ruszyć pendzlem. Wogóle cały był schorzały. A gdy na pewien czas pani Stankiewiczowa wyjechała, stan chorego, na skutek braku należytej opieki, tak się pogorszył, że dr. Rutkowski każe go przewieść do swojej lecznicy do Krakowa. Wyspiański tak czuje się wycieńczony, że w drodze kilkakrotnie omdlewa, opadając na ręce towarzyszącego mu Feldmana.

Kilka dni po przybyciu do Krakowa, nastąpiły u chorego nowe komplikacje wewnętrzne, bardzo niebezpieczne. Boleści

---

*) Na podstawie notatek Konstantego Szokowskiego, druk. w Tygodniku Ilustrowanym, R. 1907, № 49.

się wzmogły. Jednakże silna konstrukcja fizyczna Wyspiańskiego i jego niezłomny hart ducha w toku choroby, sprawiły odwlekanie ostatniej godziny. Niezwykła musiała być energja poety, skoro w czasie tej choroby, w chwilach jakiej takiej ulgi, na łożu leżąc, żarliwie zajmował się literaturą i sztuką.

Tymczasem nad ranem 28-go listopada nastąpiło, prawie że niespodzianie, gwałtowne pogorszenie. Wśród okropnych bólów i mąk około godziny 8-ej rano rozpoczęła się agonja. Ciotka Joanna, zawiadomiona o katastrofalnym stanie przez dr. Adama Chmiela, który w tę noc czuwał przy chorym, posłała po kapłana. Przybył jezuita O. Pawelski, dobry znajomy poety. Długo przesiedział przy łożu Wyspiańskiego, który początkowo zachowywał się zupełnie biernie i apatycznie. Wkońcu jednakże zgodził się na spowiedź generalną. Pojednał się z Bogiem. Gorącą modlitwą ze łzami w oczach. Po spowiedzi pragnął widzieć się z Feldmanem. Potem z swoim przyjacielem, dr. Skąpskim. Gdy go pytano, czy nie chciałby widzieć żony i dzieci, zaprzeczył i kładąc rękę na sercu powiedział: „Dzieci i żonę mam tu w sercu". Po chwili atoli pytał się o ich zdrowie i dodał: „A jednak chciałbym ujrzeć dzieci, ale boję się!"

W godzinach obiadowych nastąpiło znowu pogorszenie. Wzmogło się rzężenie. Gdy nastała chwila ukojenia, polecił dr. Skąpskiemu opiekować się dziećmi, do Feldmana zaś i Chmiela rzekł: „A wy podajcie sobie ręce i zajmijcie się moją puścizną literacką. Zygmunt August... fragmenty... ostatni akt, tak jak Matejko... Unia... z kartek uporządkujecie...

Ostatnie zaczęły dla autora „Wyzwolenia" bić godziny tego świata. Szybkiemi kroki zdążała dusza Jego ku wyzwoleniu z pęt ciała. Konstanty Srokowski tak opisuje końcowe chwile poety:

„— Więcej... najwięcej światła!... — powtórzył Wyspiański swoje życzenie. A kiedy zapalono drugą lampę, widać było, że mu to sprawiło przyjemność... Już tę ostatnią przyjemność.

— Niech mnie pan trzyma— mówił do Feldmana i przytulił się doń, jak dziecko.

— Boję się nocy— dodał po chwili i znowu umilkł.

Podano mu filiżankę czarnej kawy. Wypił. Oczy znowu nabrały szklistego blasku i stanęły nieruchome w orbitach. Ręce znowu zaczęły się zmagać z niewidzialnym a niezmożonym wrogiem.

— Widzę Stasia!—krzyknął nagle. W przedśmiertnej wizji ojciec ujrzał swoje ukochane, najmłodsze dziecko, milutkiego, bardzo ładnego sześcioletniego Stasia.

Zegar wskazywał wtedy godzinę czwartą.

Dobrą jeszcze chwilę potem trwało rzężenie i jęk, coraz bardziej słabnący. Wreszcie wyprostował się i zaczął oddychać spokojniej.

Myślano, że zasypia. Lecz oczy miał otwarte. Na zbolałą woskową twarz zaczął powracać spokój. Jeszcze kilka razy podniosły się piersi. Usta jeszcze kilka razy chwyciły powietrze. A potem ucichł szum w piersiach. Usta nie domknęły się przy ostatniem westchnieniu. Twarz odzyskała dziwną swą, przedziwną piękność. Pukiel włosów z dawną fantazją najeżył się na białem wysokiem czole, ale Stanisław Wyspiański już nie żył.

Zegar wskazywał wtedy godzinę piątą.

Zamilkł spiżowy dzwon narodowego sumienia. Umarł Mistrz Mocy i Piękna. Ale Duch Jego żyje i dotąd wali w nas Kazimierzowskim Młotem...

A. F. Kowalkowski.

Marynarka polska w 1863-4 r.

Ostatnie powstanie nasze jest do chwili obecnej dość mało zbadane. Składa się na to wiele przyczyn. Przedewszystkiem, zwycięskie państwa zaborcze po ostatecznem stłumieniu powstania pragnęły je wymazać z pamięci ludzkiej, a temsamem zdjąć nareszcie „kwestję polską" z porządku obrad polityków europejskich. Obcy więc mieli dostęp do badań dość utrudniony, a swoi—wręcz zamknięty. Pozatem powstanie było stosunkowo tak niedawno, że częstokroć i swoi dziejopisowie, i obcy, przeważnie rosyjscy, historycy nie umieli pisać o niem spokojnie i bezstronnie. Jednem słowem, prawdziwego obrazu naszych zmagań, można powiedzieć, nie mamy, natomiast luk w istniejących obrazach jest sporo. Najwięcej tych luk się spotyka w pracach, poświęconych wojskowemu opisowi strony powstania. Tu podkreślić należy, że, pisząc o zagadnieniach wojskowych, pisze się jedynie o przygotowaniach do walki i o samej walce wyłącznie na terenie

lądowym, a przemilcza się o przygotowaniach powstańczych do toczenia tej walki na terenie morskim. Tymczasem takie przygotowania istniały i, trzeba przyznać, były obmyślane daleko bardziej realnie i rzeczowo, aniżeli wiele z naszych planów lądowych. Objaśnić to da się w ten sposób, że opracowaniem walki lądowej zajmowali się przywódcy, mający po większej części bardzo powierzchowne wykształcenie fachowe i odpowiednią praktykę (negatywnym przykładem służy tutaj Mierosławski), podczas kiedy sprawami morskiemi zajęli się ludzie odpowiednio przygotowani, jak Zbyszewski, o którym będzie mowa poniżej.

Właściwy asumpt do tworzenia polskiej marynarki wojennej dała odpowiedź, udzielona przez ówczesnego angielskiego ministra spraw zagranicznych, lorda Russela, generałowi hrabiemu Zamoyskiemu, delegowanemu do Londynu przez agenta dyplomatycznego Rządu Narodowego, jakim był w Paryżu książę Władysław Czartoryski, że Wielka Brytanja uzna powstańców polskich za stronę wojującą, o ile do jakiegokolwiekbądź portu angielskiego zawinie polski okręt wojenny. Utworzenie zatem floty było wywołane okolicznościami wyłącznie politycznemi. W tym kierunku zaczął działać Czartoryski, kupując w czerwcu 1863 r. dwa statki handlowe: „Samsona" w Konstantynopolu i „Princess" w Newcastle. Miały być one przerobione na okręty wojenne i został nawet wyznaczony naczelny wódz całej przyszłej floty polskiej w osobie oficera francuskiej marynarki wojennej, Andrzeja Magnan'a. Sprawa posuwała się dość ospale, tembardziej, że między Czartoryskim a Magnan'em powstały spory o kompetencje w tworzeniu tej marynarki powstańczej. Było to jesienią 1863 r. Tymczasem zaszły na horyzoncie insurekcyjnym dwa wypadki, mające zaważyć na losach formowania marynarki polskiej. W kraju objął dyktaturę Romuald Traugutt, jedyny organizator i fachowiec wojskowy na naczelnem stanowisku w powstaniu styczniowem, a do Czartoryskiego zgłosił się w Paryżu były oficer rosyjskiej marynarki wojennej, Władysław Zbyszewski. Był on dowódcą korwety rosyjskiej na Dalekim Wschodzie i na pierwszą wieść o wybuchu powstania rzucił służbę zaborczą, pragnąc służyć ojczyźnie. Zbyszewski nie zadawalniał się politycznem znaczeniem floty, a pragnął ją wyzyskać do

zadań ściśle wojennych. W memorjale, złożonym Czartoryskiemu, wskazywał Zbyszewski na zupełnie realne możliwości, jaka przedstawiała dla floty polskiej walka na morzu Czarnem. Na morzu tem Rosja na zasadzie Traktatu Paryskiego z 1856 r. nie mogła trzymać okrętów wojennych, natomiast miała liczne statki handlowe, zajmujące się ożywionym handlem z Bliskim Wschodem. Pozatem, na Kaukazie wrzała nieustająca wojna między regularną armją rosyjską i bijącymi się rozpaczliwie góralami. Wojsko rosyjskie liczyło tam do 40% Polaków, a góralom stale pomagali Anglicy i Turcy, podsyłając broń, amunicję i instruktorów. Wojna korsarska, prowadzona przez powstańców polskich na morzu Czarnem, mogła narazić Rosję na olbrzymie straty handlowe, a przytem podsycić opór górali i zdezorganizować armję kaukaską feldmarszałka księcia Bariatyńskiego. Plan Zbyszewskiego spotkał się z uznaniem kół fachowych francuskich w Paryżu i zyskał zupełną aprobatę Traugutta. W końcu 1863 r. Zbyszewski wziął się z zapałem do pracy. Otrzymał on stanowisko Organizatora Generalnego Sił Polskich na morzu, podporządkowanego jedynie agentowi wojskowemu przy Czartoryskim, pułkownikowi Eugenjuszowi Dębińskiemu. Zbyszewski uzyskał prawo nominacji na wszystkie stanowiska wojskowe w marynarce polskiej i dysponowanie morskiemi siłami. W poszczególnych portach zostali ustanowieni przezeń agenci morscy, mający zarówno wyszukiwać armatorów, chcących wystawić własnym kosztem statki korsarskie, jak i marynarzy, którzy chcieliby na tych statkach służyć. Agencje takie zostały uruchomione wszędzie, najwięcej uruchomiono ich w Ameryce Płn., gdzie wrzała wojna Secesyjna i gdzie kwitnął w najlepsze ruch korsarski.

Zgodnie z instrukcjami Zbyszewskiego, polskie statki korsarskie, działające na morzu Czarnem, utrzymywały się ze zdobyczy nieprzyjacielskiej, mianowicie 25 proc. oddawano Rządowi Narodowemu, a 75 proc. brała załoga statku polskiego. Regulamin obowiązywał francuski, mundur był granatowy ze srebrnemi guzikami i amarantowemi wypustkami, bandera, proporzec i znak—biało-czerwone, na proporcu było umieszczone stare godło Zygmunta-Augusta: ręka z mieczem. Za bazy wypadowe miały służyć porty tureckie, na co Wysoka Porta chętnie się zgodziła.

W lutym „Princess" wyszła z Newcastle, kierując się przez Maltę w stronę Konstantynopola. Została ona niestety internowana przez władze hiszpańskie w Maladze. Zbyszewski nie zraził się tem początkowem niepowowodzeniem, lecz pracował gorączkowo dalej. W sztabie jego znaleźli się zdolni oficerowie ze służby szwedzkiej i rosyjskiej (kapitan marynarki Kossak). W marcu 1864 r. zawiązany został ożywiony stosunek z Włochami. Praca nad przygotowaniem do walki na morzu Czarnem była na wiosnę w całej pełni. Lecz niestety, w dalekiej ojczyźnie dogasało już powstanie. Traugutt był aresztowany od kwietnia, a z jego odejściem zaczęła się agonja. Skoro już nie walczono w kraju, straciła rację bytu walka na morzu.

Tak rozwiał się sen o polskiej marynarce wojennej w naszem ostatniem powstaniu.

Inż. Witold Hubert.

SPRAWOZDANIA i RECENZJE.

„Tydzień Miłosierdzia". W dniach od 13 do 20 listopada r. b. Katolicki Związek „Caritas" Archidiecezji Warszawskiej zorganizował „Tydzień Miłosierdzia". W związku z tem otrzymaliśmy odezwę treści następującej:

„Zadaniem „Tygodnia" jest zmobilizowanie wszystkich sił katolickich na terenie Archidiecezji dla dzieła miłosierdzia, dla zebrania funduszów na pomoc ubogim i bezrobotnym, a przedewszystkiem na pomoc biednym dzieciom.

Przy Centrali Związku „Caritas" zorganizował się specjalny Komitet pod protektoratem Jego Eminencji Najdostojniejszego Protektora Związku Księdza Kardynała Kakowskiego i Ich Ekscelencyj Ks.Ks. Biskupów, przy udziale najwybitniejszych działaczy katolickich, Oddziałów Parafjalnych Związku „Caritas", przedstawicieli Związków i Stowarzyszeń Akcji Katolickiej, stowarzyszeń Pań Miłosierdzia i konferencyj Panów św. Wincentego a Paulo, organizacyj młodzieży akademickiej i innych związków oraz stowarzyszeń społecznych i religijnych.

Ponieważ zbliżająca się zima spotęguje bez wątpienia napływ biednych, proszących o pomoc, a nędza szerzy się coraz większa, jest rzeczą konieczną, aby wszystkie parafje na terenie całej Archidiecezji wzięły czynny udział w organizacji „Tygodnia Miłosierdzia".

W tym celu zwracamy się z usilną prośbą do wszystkich organizacyj katolickich i ludzi dobrej woli o poparcie „Tygodnia Miłosierdzia" przez

wzmożoną ofiarność w tych dniach, a w szczególności poparcie kwest, organizowanych przez wszystkie oddziały parafjalne „Caritas" i Komitety Parafjalne w całej Archidiecezji.

Mamy przed sobą poważne obowiązki w zakresie ulżenia niedoli dzisiejszych czasów, ufamy też, że „Tydzień Miłosierdzia" będzie dowodem istotnego Miłosierdzia chrześcijańskiego o którem tak wymownie pisze J. Em. Ks. Kardynał Kakowski w swym liście pasterskim „O miłosierdziu chrześcijańskiem w Akcji Katolickiej", jako o najpotężniejszym orężu dla pokonania szerzącego się zła.

Niechaj więc w dniach tych, wielkiej krucjaty miłosierdzia nie zabraknie nikogo, ktoby czynem i ofiarą nie dopomógł do zebrania funduszów na akcję pomocy najbiedniejszym.

Idźmy za głosem Chrystusa w imię Jego miłości, którą tak umiłował biednych i nieszczęśliwych, za obietnicą, że wszyscy, którzy miłosierdzie czynią, miłosierdzia dostąpią.

...„Błogosławieni miłosierni..."

I. Kazimiera Berkanówna. „Tak mi ciężko". Rozmowy na czasie Poznań 1933. Księgarnia św. Wojciecha.

Na treść tej książeczki składa się dwadzieścia ośm rozdziałów w sposób barwny i żywy przedstawiające współczesne bolączki jednostek, rodzin, społeczeństwa. Podają one wskazówki praktyczne, jako środki zaradcze, przedewszystkiem umiejętnie skierowując umysł i wolę do nadprzyrodzonego traktowania przeróżnych bied oraz zachęcając do aktywności ducha i energji życiowej.

Puszczając w świat tę książeczkę Autorka zapowiada wydanie dalszych tomów na aktualne tematy i zapoczątkowuje „Bibljoteczkę Społeczną". Skład główny u Autorki ul. Matejki 53. Poznań.

Ks. Czesław Małysiak T. B. Z. 3 dni Kursu Instrukcyjnego dla rekolekcjonistów. Metodyczny podręcznik rekolekcyjny dla rekolekcji zamkniętych. Trzebinia 1932.

Nakładem Domu Rekolekcyjnego OO. Salwstorjanów.

Myśl Ojca św., wyrażona w Encyklice „Mens Nostra" z dnia 20 grudnia 1929 r.: „Jeśli w ten sposób, Wielebni Bracia, ćwiczenia duchowne we wszystkich sferach społeczeństwa chrześcijańskiego się rozszerzą i starannie będą się odbywały, nastąpi odrodzenie duchowe; ożywi się pobożność, wzmocnią siły religijne, rozwinie się owocna praca apostolska i pokój zapanuje w końcu wśród jednostek i wśród społeczeństwa"... coraz głębsze zapuszcza korzenie, coraz szersze zatacza kręgi w uświadomionem pod względem religijnym społeczeństwie naszej Ojczyzny i istotnie można rokować wielkie nadzieje duchowego odrodzenia narodu.

Przyczynkiem instrukcyjno-metodycznym do tej sprawy jest ułożony przez Ks. Cz. Małysiaka „Podręcznik dla rekolekcjonistów". Podstawowym materjałem nań był trzydniowy kurs w Trzebini, odbyty w b. r. Z czasem zapewne, wydane zostaną inne obszerniejsze i dokładniej opracowane dzieła w tej sprawie narazie należy zadowolić się Podręcznikiem omawianym i wy-

razić wdzięczność Szanownemu Ks. Czesławowi Małysiakowi za pierwszą cegiełkę do przyszłego gmachu rekolekcyjnej literatury.

„Dzwonek rekolekcyjny" z Trzebini. Pisemko Rekolekcyjne. Październik 1932. Rok 5 № 10.

Numer ten specjalnego pisemka zawiera: Sprawozdanie z Trzeciego Dnia Rekolekcyjnego w Katowicach; Kazanie J. E. Ks. Biskupa Dembka i sporo innych wiadomości, zmierzających dla rozpowszechnienia idei rekolekcyjnej, spopularyzowania jej i zachęcenia do zakosztowania słodyczy — samotności duchowej. *Ks. Al. Bołtuć M. I. C.*

Magnin. L'Eglise Enseignée. Bloud-Gay Paris 8 rue Garancière. — 190 str.

Możemy nazwać to dzieło podręcznikiem dla codziennej Akcji Katolickiej. Podręcznikiem prawnym, albowiem opartym na Kodeksie praw kanonicznych. Jestto poprostu rozprowadzenie niektórych punktów zasadniczych w Cod. iur. can. pożytecznych dla pracy w A. K. Z 190 stron całego tekstu 158 stron tyczy się przygotowania, praw, obowiązków, duszpasterstwa kapłanów, a tylko koło 30 stron praw i obowiązków laików. Jest to poważne studjum sprawy katolickiej, jednej z najważniejszych: Kapłan i wierny, czyli inaczej, jeśli chcemy, studjum współpracy dla Kościoła między klerem i laikiem, jednakże (tak mi się zdaje) kwestja niewyczerpana i niedopowiedziana.. bo dlaczegóż tyle koło nas społecznych konfliktów?... *K. Berkanówna.*

Bessières. S. J. Deux grands Méconnus: Gaston de Renty et Henry Buch. — Action Populaire. Editions Spes. 17 rue Soufflot, Paris. — 1931. — 480 str.

Znany francuski pisarz, Jezuita Bessiéres. autor znakomitej rozprawy: L'Evangile du Chef (dla kierowników Akcji Katolickiej), wystąpił z dalszem dziełem w serji swych publikacyj dla Akcji Katolickiej, tym razem dość niezwykłem: Renty, ziemianin, i Buch, szewc, przyjaciele, są bardzo cenionymi świeckimi pracownikami AK. społecznej, każdy w swym kierunku, mimo to idących razem, ręka w rękę.

Obaj żyli w 18. w. za czasów św. Wincentego à Paulo, Renty umarł młodo, Buch — w starszym wieku. R. pomagał Buchowi swymi wpływami i funduszami, a obaj prowadzili na swych stanowiskach życie prawdziwie świętobliwe. Ostatniem polem ich wybitnej pracy społecznej był Paryż. Buch zakładał organizacje między rzemieślnikami, a Renty gromadził społeczników świeckich w stowarzyszeniach Eucharystycznych.

Spora księga O. Bessiéres jest prawdziwem studjum ludzi i czasów. opracowanem źródłowo i wyczerpująco.

K. Berkanówna.

Duchaussois. Rose du Canada. Editions Spes. Paris 17 rue Soufflot. — 15 frs. — 1932.

Znany D. z polskich tłómaczeń, poczynionych staraniem konfratrów autora, Oblatów N.M.P. Niepokalanej w Krobi Wlk. i wiemy, że D. ślicznie opisał prace misjonarzy i misjonarek w północnej Kanadzie i na Ceylonie,

Matka Marja-Rozalja jest założycielką Zgromadzenia SS. Imion Jezusa i Marji. Żyła tylko 38 lat (ur. 1811), ale w tym krótkim czasie dała podstawy dla wspaniałego dzieła wychowawczego, które do dziś czyni wiele dobrego, nietylko w Kanadzie, ale na całym świecie.

Autor stawia Matkę M. R. obok Róży z Limy i dlatego nazwał ją: Różą Kanadyjską. Chce dać tej tak bardzo katolickiej, a jeszcze dziewiczej ziemi śnieżystej Kanady, nową Patronkę w niebie. *K. Berk.*

Reisch. Die hl. Katharina von Siena. — Herder. Freiburg i Br. — 9 ilustracyj.

Niedawno pisałam o Listach św. Katarzyny Sienieńskiej, tej par excellence społeczniczki, jakiej typ i dziś by nam się przydał, chociaż już nie żyjemy w wiekach średnich, jak święta. (Listy zebrała pani Maresch). Niniejsze dziełko ukazuje się w serji: Obrazy kobiece, w której wyszedł już życiorys Dunki Elizy Hoskier, Amalji Galicyn, malarki Ellenrieder itp. Zastanawia, jak często temat św. Katarzyny jest omawiany w współczesnej literaturze! zwłaszcza może niemieckiej i angielskiej. Zamiast ciszej, to coraz głośniej o tej nadzwyczajnej kobiecie, która odważyła się mówić prawdę dostojnikom kościelnym i cywilnym. Była w swoim czasie sumieniem narodów, zwłaszcza swej włoskiej ojczyzny. Charakter ponad przeciętną miarę, jakich nam teraz potrzeba. Wszelkie pochwały dla świętej, jako dla człowieka, dla społecznika, są dotąd za słabe. Odnosi się wrażenie, iż jakoś nie mamy odwagi przedstawienia jej czasów i jej dla nich zasług, chociaż to już 600 lat temu, kiedy żyła! Życiorys świętej nasuwa myśli wielkie i pożyteczne: „Jest wielką w miłości, bohaterką w umartwieniu, pełna mądrości, energji i zapału do czynu" — dodajmy, do czynu społecznego, którego jest pionierką jako kobieta. *K. Berk.*

Prawo przeciw pornografji. Pod tym tytułem wyszła broszura, wydana przez S. A. Ostoję (Poznań, Pocztowa 15). Cena 45 gr. Autor—p. Władysław Oleksy, zebrał w niej najważniejszę przepisy prawne, zatwierdzone przez konwencje międzynarodowe i polskie ustawodawstwo.

Z obecnego zalewu pornografji widać, że nie wyzyskaliśmy dotychczas, przysługujących nam praw do zabezpieczenia naszego społeczeństwa, a zwłaszcza młodzieży przeciw zgubnym wpływom pornografji.

Broszura ta odda nieocenione usługi naszym pracownikom społecznym i duszpasterzom, przez przypomnienie tych ustępów prawodawstwa, na których oprzeć oni mogą skuteczną akcję zwalczania pornografji na terenie swego działania.

„Ostoja" wydała również cztery wykłady o zwalczaniu pornografji i popieraniu dobrej prasy. Wyszły one w świeżo zapoczątkowanem wydawnictwie „Żywe Słowo", którego pierwsze numery noszą następujące tytuły:

Nr. 1 Felicja Żurowska: O czystość w prasie i widowiskach.
„ 2 „ „ Potęga i znaczenie prasy.
„ 3 Cz. Wolniewiczówna: Walka z demralizacją.
„ 4 X. A. Marcinkowski: 10 przykazań apostoła dobrej prasy.

„Żywe Słowo" wychodzić odtąd będzie stale, przynosząc materjały do wykładów pogadanek i dyskusyj na aktualne tematy. Będzie to więc duża

pomoc dla prelegentów i kierowników organizacyj A. K., z której korzystać będą zapewne skwapliwie. Cena każdego n-ru „Żywego Słowa" 15 gr.

Prawdziwe Nieprawdy. Tadeusz Kordyasz, Warszawa 1933. Skład główny Gebethner i Wolff.

„Gdyby połowa wierzących uwierzyła w Boga, świat cały leżałby pod nogami Chrystusa".

Takie i tem podobne myśli, spotykamy w książce doktora Tadeusza Kordyasza, która świeżo ukazała się na półkach księgarskich. „Prawdziwe Nieprawdy"—to zbiór bardzo głębokich myśli, dotykających tych rzeczywistości wiecznych i dzisiejszych, których istnienia wielu, ach jakże wielu zaprzecza. Piękno rzeczy boskich zwalczane przez przeciwników, a częstokroć zapomniane i niedoceniane przez katolików, oto treść rozważań, aforyzmów, luźnych uwag, spojonych tem, że należą do kart pamiętnika jednej osobistości. Przenikliwe rozeznanie filozoficzne, wyczucie artysty i głęboko refleksyjna wiara chrześcijanina, składa się na tworzywo tego dziełka, które koniecznie przeczytać należy.

Wielu przyjmie je z ostrą krytyką, a jednak uwagi te, ubrane w szatę paradoksu, głęboko zapadną w każdą duszę.

Jan Łukaszewski.

Felicja Żurowska: Metoda pogadanek ankietowych omawia szczegółowo jedną z metod dyskusyjnych, nadającą się specjalnie do zastosowania w kółku wychowawczem

Obie te rozprawki są bardzo na czasie i spotkają się z żywem zainteresowaniem duchowieństwa i pracowników społecznych. Ujmują bowiem zagadnienia rozbudzenia samodzielności i wyrobienia wewnętrznego oraz apostolstwa młodych wśród młodych w sposób nowoczesny, a przytem rokujący rzeczywiste pogłębienie pracy w SMP. i jego wpływu na młodzież i społeczeństwo klas pracujących.

Zofja Rodowicz-Iwanicka — „Zgaszony błękit". Nakładem Kat. Tow. Wydawniczego „Kronika Rodzinna" ukazała się zajmująca powieść p. Zofji Rodowicz-Iwanickiej p. t. „Zgaszony błękit".

Autorka w sposób plastyczny, choć pełen umiaru, przedstawiła obraz klęskowych następstw, wynikających dla dzieci, z faktu rozejścia się rodziców. Tym sposobem dziś szeroko dyskutowana sprawa rozwodowa znalazła w powieści p. Iwanickiej wymowną ilustrację od strony zbył mało może branej pod uwagę, bo od strony interesów moralnych i materjalnych dzieci, dla których rozbicie rodziny przez rozwód staje się zazwyczaj katastrofą życiową.

Aktualna treść i estetyczna szata zewnętrzna — wszystko to razem składa się na interesującą całość, która niewątpliwie znajdzie dobre przyjęcie wśród szerokich kół społeczeństwa.

WARUNKI PRENUMERATY „*PRO CHRISTO*":

Kwartalnie	3.—	Rocznie	12—
Półrocznie	6.—	Cena pojed. numeru .	1.—

Zmiana adresu 50 gr.

WARUNKI PRENUMERATY ZAGRANICĄ.

Kwartalnie	4.50	Rocznie	18.—
Półrocznie	9.—	Cena pojed. numeru .	1.70

CENY OGŁOSZEŃ W „PRO CHRISTO".

Stronica okładki	60 zł.
1/2 stronicy	30 zł.
1/4 stronicy	15 zł.
Stronica poza tekstem.	50 zł.
1/2 stronicy	25 zł.
1/4 stronicy	12 zł.

Redaktor odpowiedzialny: HIERONIM SAMULSKI.

MY MŁODZI KATOLICY CHCEMY:

1. Przyśpieszyć triumf Chrystusa w Polsce na wszystkich polach naszego życia indywidualnego i społecznego;
2. Pomnożyć zastępy kapłanów, którzy w pierwszym rzędzie pracują dla Królestwa Chrystusowego;
3. Budzić powołania zakonne w celu przeciwdziałania potęgą dziewictwa współczesnej demoralizacji społecznej;
4. Przygotować czystych ojców i matki przez pogłębienie w młodzieży życia katolickiego;
5. Oczyścić i uświęcić atmosferę rodzinną przez wprowadzenie do niej kultu Najświętszego Serca Jezusowego i życia eucharystycznego;
6. Demaskować i zwalczać podstępne usiłowania wrogów zmierzające do podkopania dogmatu katolickiego;
7. Zwalczać czynnie wszelkie objawy demoralizacji;
8. Współdziałać ze wszystkiemi szlachetnemi usiłowaniami ku wyzwoleniu Polski z pod tyranji żydowstwa i masonerji;
9. Stawiać przed oczy wzory wybitnych mężów w Narodzie ku pokrzepieniu serc i spotęgowaniu miłości Ojczyzny;
10. Szerzyć wśród inteligencji katolickiej uświadomienie społeczne i zrozumienie konieczności czynnej współpracy z masami ludowemi;
11. Czerpać światło i moc z orzeczeń papieskich oraz wskazań Episkopatu polskiego.

Drukarnia Diecezjalna w Łomży